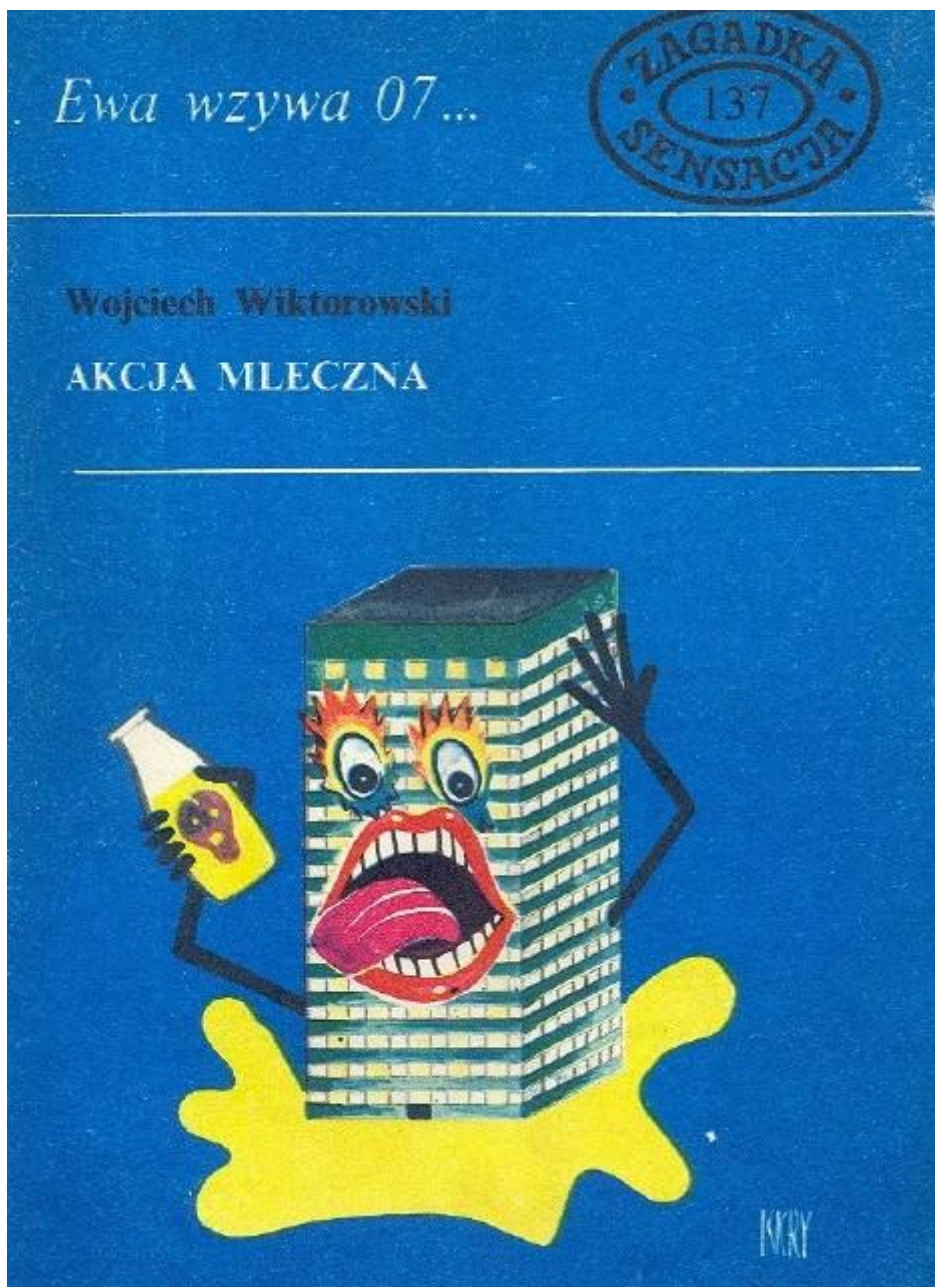


*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07*

# Wojciech Wiktorowski

## Akcja mleczna

---



# Rozdział 1

---

Kapitan Andrzej Zawadzki, inspektor Biura Kryminalnego KGMO, siedział beczynn timer za biurkiem. Przez kilka godzin udało mu się załatwić jeden telefon, napisać nikomu niepotrzebne sprawozdanie i odbyć dwie nieistotne rozmowy. To było wszystko.

Kapitan bał się.

Obojętny wyraz twarzy, spokojny, opanowany ton głosu były tylko pozbawionymi znaczenia pozorami. Podobnie zresztą, jak starannie ogolona twarz, czysta koszula, świeżo odprasowany garnitur. Podobnie jak demonstracyjne chwalenie się brakiem poważniejszych kłopotów i zmartwień. Bał się. Przypominał mu o tym bezustannie mdlący smak, który czuł w przełyku, i wilgotniejące dłonie. Bał się. By! przerażony.

Wypił łyk kawy. Pomogło. Niestety, tylko na chwilę. Tego dnia zawodziły go wszystkie środki zaradcze, które stosował w podobnych wypadkach. Trzy filiżanki kawy, prawie pół paczki papierosów, a nawet dwa kieliszki koniaku, którym usiłował ratować się rano — wszystko można było spisać na straty.

Zaczęło się to jeszcze w nocy. Koszmarne sny dręczyły go prawie do rana. co spowodowało, że obudził się zupełnie roztrzęsiony. Gdy usiłował się ogolić, zauważył, że cała twarz pokrywa lepki pot: maszyna zacinała się raz po raz. szczypiąc go boleśnie w policzki. Nawet nie pamiętał, co było na śniadanie i o czym rozmawiał z żoną. Kieliszek, do którego nalewał koniak, nagle pękł — sam nie wiedział, jak się to mogło stać. Wszyscy ludzie, których spotykał w drodze do pracy, wydawali się okropnie przygnębieni. Tramwaj włókł się jak nigdy dotąd.

To wszystko.

Odsunął krzesło od biurka, oparł ręce na kolanach i zgięty w pół zaczął wpatrywać się w podłogę. Tak było znacznie lepiej. „Kończę się — pomyślał. — Oto całe wytłumaczenie”

Siedział przez kilka minut. Potem wyprostował się i rozejrzał dookoła.

Czyste, białe ściany, nowoczesny, metalowy segregator, elektryczna maszyna do pisania, świeżo umyte okna, nowe firanki. Najlepszy pokój w całym gmachu. Do tego sąsiad zza biurka, który nie narzuca się nigdy ze swoim towarzystwem i swoimi problemami. Lepiej być nie mogło. Najlepszy pokój dla najlepszego inspektora.

Uśmiechnął się kwaśno. Najwyższy czas pomyśleć o przeprowadzce.

Znowu poczuł w gardle mdlący smak. Wrócił więc do poprzedniej pozycji i siedział nieruchomo przez dłuższą chwilę. Przeszło.

„Muszę stąd wyjść — pomyślał. — Byle gdzie”.

Wstał i wyjął z kieszeni płaszcza portfel z pieniędzmi. Postanowił pójść do bufetu. Miał ochotę znaleźć się w towarzystwie, a w tym miejscu i o tej porze mógł na nie z pewnością liczyć.

Długi, ciemny koniarz wydawał się na pierwszy rzut oka prawie pusty — ledwo jednak wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, nie wiadomo skąd pojawiło się kilku pracowników komendy. Ukłony, nie szczere uśmiechy, pozbawione sensu pogawędki, wreszcie znaczące spoglądanie na zegarek i inne gesty wskazujące, że bardzo mu się spieszy, sprawiły, że jeszcze nigdy droga do bufetu nie wydawała się tak długa. Gdy wreszcie dotarł do celu i usłyszał dochodzący z małego pomieszczenia gwar głosów kolejnych prześladowców, zatrzymał się niezdecydowany. W końcu samotność nie była taka zła... Zastanawiał się przez chwilę, wreszcie zdecydowanym ruchem pchnął drzwi i wszedł do środka.

Przed bufetem stała długa kolejka. Na oka dwadzieścia minut oczekiwania. „Co najmniej o dwadzieścia minut za mało” — pomyślał i starając się nie zwracać na siebie uwagi ustawił się na samym końcu. Miał pecha. Nie zdążył nawet przesunąć się do przodu o metr, gdy usłyszał wypowiedane na głos swoje imię, a jednocześnie ktoś przy kasie zamachał do niego ręką i zapytał głośno:

— Co dla ciebie zamówić?

Poprosił o herbatę. Zaniósł szklankę do stolika, który mu wskazano, usiadł i z ogromnym skupieniem zaczął wpatrywać się w przeciwległą ścianę. Niestety, rozmowy nie udało się odwlec.

— No, jak tam? — zaczął bezlitośnie znajomy kapitan z innego wydziału, Kalicki. — Nie wyglądasz na zadowolonego.

— Nie?

— Wcale. Numer pierwszy. Najlepszy pracownik. Ba, as atutowy! Czy tak ma wyglądać człowiek sukcesu?

Uśmiechnął się blado. Uwagi kapitana ani go nie bawiły, ani nie napawały dumą. Były mu najzupełniej obojętne. Wypił łyk herbaty. Skurcze żołądka ustąpiły na chwilę, ale zaraz potem wróciły ze zdwojoną siłą. Z przerażeniem zauważył, że zaczyna mu drzeć ręka, w której trzymał szklankę z herbatą.

— Źle się czujesz?

Zastanawiał się długo nad odpowiedzią, jakby pytanie w ogóle nie dotyczyło jego osoby.

— Nie nadzwyczajnie — odparł wreszcie.

— Masz coś nowego?

— Nic.

— Coś się stało?

Pokręcił przecząco głową. Zastanawiał się, czy nie wyjść pod byle pretekstem. W końcu zrezygnował. Wracać do pustego pokoju i czekać biernie, aż coś się wydarzy, czy zostać i słuchać jakichś bzdur — w końcu było to zupełnie wszystko jedno.

Jego rozmówca zamilkł. Może nareszcie zrozumiał, że coś jest nie tak? Niestety!

— Wiesz co, Andrzej, chciałbym złożyć ci gratulacje...

— Doprawdy?

— Te dwie ostatnie sprawy... Prawdziwy majstersztyk!

Nic nie odpowiedział.

— Ostatnio coraz częściej mówi się o twoim awansie. Major wspominał mi nawet...

Kiwnął głową parę razy, uśmiechnął się, udał, że słucha uważnie, ale nie docierało do niego zupełnie nic. Wyłączył się. Nie mógłby powtórzyć ani jednego zdania, które wypowiedział Kalicki. Czuł tylko rosnące przygnębienie i coraz częściej myślał, że dobrze byłoby wrócić już do siebie.

Doskonale wiedział, jak się to wszystko odbędzie. Otworzy drzwi, wejdzie do środka i usiądzie na krześle. Zaczeka. Kilka minut, godzinę, może jeszcze dłużej. Nieważne. Usiądzie i zaczeka tak długo, jak będzie trzeba.

Kalicki rozgałał się na dobre. Żartował, plótl trzy po trzy, opowiadał jakieś stare dowcipy. Koszmar!

A wiec, zaczeka... Gdy minie godzina, dwie godziny i zacznie mieć nadzieję, że może znowu tym razem się uda, wtedy zadzwoni telefon. A może przyjdzie sekretarka... I wszystko zacznie się na nowo.

Znowu ten mdlący smak. Może to wina lury, którą podawano w bufecie?

Co będzie tym razem? Dochodzenie spaprane przez kolegów, którzy nie chcą przyznać się do błędu, czy coś zupełnie nowego? Seria pomyłek, czyjeś niedopatrzenie czy istotnie jakaś wyjątkowa sprawa?

Co oni znowu wymyślą?

Przez kilkanaście lat przekonał się, że ludzka pomysłowość w dziedzinie zabijania jest nieograniczona. Makabryczne zagadki, jakie szykowali dla niego różnego rodzaju maniacy, zbrodniarze albo ludzie bezwzględnie dążący do celu, stawały się coraz wymyślniejsze; coraz bardziej ohydne i odrażające. Coraz trudniej było też połapać się w tym wszystkim. Postęp... Jak się okazywało, nie ominął również i tej dziedziny. A może — zastanowił się — to tylko złudzenie? Prosta konsekwencja awansu i kariery zawodowej? Tego, że obecnie styka się już niemal wyłącznie z najbardziej wyrafinowanymi przypadkami?

Jakkolwiek by było, na samą myśl o kolejnej „sprawie” chodziły mu po plecach ciarki. Najzwyczajniej w świecie bał się. Na domiar złego orientował się doskonale w zapatrywaniach majora, znanego z niechęci do szafowania zdolnościami swoich podwładnych. Od dwóch tygodni praktycznie nie miał nic do roboty. Po tylu dniach, po tak długim oczekiwaniu można było spodziewać się czegoś naprawdę wyjątkowego.

— Panie kapitanie...

Podnieśli głowy. Obok stolika stała pani Krystyna, sekretarka majora.

Zamknął oczy i mocno zacisnął zęby. To było po prostu niemożliwe.

— Panie kapitanie...

Otworzył oczy. Pani Krystyna stała tam, gdzie poprzednio.

— Panie kapitanie, major polecił mi natychmiast pana odszukać i poprosić do siebie. Powiedział, żeby pan się pospieszył i że sprawa jest bardzo poważna.

A więc stało się!

## Rozdział 2

---

Dziewczynka mogła mieć dziesięć lat albo trochę mniej. Zapewne przywieziono ją niedawno, bo miała na sobie tylko zwykłą bieliznę, a długie, jasne włosy były starannie uczesane i zaplecione w dwa warkocze. Pomimo zastygłej w bezruchu, białej jak papier twarzy i zamkniętych oczu sprawiała wrażenie przytomnej. Od przegubu ręki odchodziły cienkie przewody kroplówki. Dwaj lekarze obsługujący jakąś skomplikowaną aparaturę stojącą obok łóżka wyglądali na bardzo poruszonych.

— Co z nią?

— Stan bardzo ciężki, ale ma pewne szanse — lekarz ze Stołecznego Ośrodka Ostrych Zatruc popatrzył w swoje notatki. — Niestety, wyjechała do rodziny za miasto i mieliśmy kłopoty z jej odszukaniem. Chcecie wiedzieć o niej coś więcej?

Odpowiedzi nie było. Lekarz śliniąc palce przerzucił kilka kartek.

— To zdaje się będzie ta... Mariola Olszowska, 9 lat... Zamieszkała... Oczywiście, adres taki jak u wszystkich.

— Przepraszam, panie doktorze — wtrącił stojący obok inspektora Zawadzkiego kapitan z komendy stołecznej — zdaje się, że będzie wykonywany jakiś zabieg, prawda?

— Owszem. Przeprowadzimy hemodializę po-zaustrojową. Chodzi o oczyszczenie krwi z substancji szkodliwych — dodał widząc niepewną minę kapitana. — Sztuczna nerka... Słyszają! pan zapewne...

Inspektor Zawadzki skrzywił się z niesmakiem. Miał najzupełniej dosyć rozmów z przemądrzałym doktorem. Okoliczności sprawiały, że podobne popisy fachowej wiedzy wydawały się wprosi obrzydliwe.

— Jak pan ocenia szanse? Wzruszenie ramion.

— Chce pan wiedzieć naprawdę? No więc, do tej pory, mała ma już za sobą płukanie żołądka i jelit. Dostała ponadto dawkę surowicy — lekarz znowu popatrzył w papiery. Teraz, jak pan widzi, jest na kroplówce: sterydy, glukoza, witaminy, antybiotyki, plazma. Staramy się, panie...

— Kapitanie.

— Właśnie. Robimy wszystko, co w naszej mocy. A co z tego wyniknie... No cóż — lekarz roześmiał się i rozłożył ręce tego nigdy nie wiadomo.

Taka odpowiedź nie mogła oczywiście zadowolić kapitana. Popatrzył na swojego kolegę jakby prosząc o pomoc, lecz obojętny wyraz twarzy inspektora wyraźnie wykluczał nadzieję na jakiegokolwiek poparcie.

— Ależ, panie doktorze — brnął dalej — chociaż w przybliżeniu można chyba powiedzieć...

— Widzę, że się nie rozumiemy — uciał ostro lekarz. — Staralem się panu wytłumaczyć, że w tym wypadku mamy do czynienia z jednym z najpoważniejszych zatruc. Może w ogóle z najpoważniejszym. Zrozumiał pan wreszcie?

— Nie.

— No dobrze... Niech pan się przyjrzy tej małej... Wbrew zaleceniu inspektor odwrócił głowę.

Obserwowanie tego, co działo się za szklanymi szybami sali intensywnej terapii, przekraczało na razie jego możliwości.

— Widzi pan, dziewczynka wygląda całkiem normalnie. Tak samo wyglądała kilka czy kilkanaście godzin temu. Co najwyżej w kilka godzin po przyjęciu toksyny mogły u niej wystąpić objawy nieżytu żołądka i jelit — dokładnie tak, jak przy każdym zatruciu pokarmowym. Objawy może silniejsze niż zwykle, a może i nie. Może w ogóle nie wystąpiły. Rozumie pan?

— Tak.

— Potem wszystko minęło. Nie ma objawów — nie ma zatrucia, prawda? Otóż w tym przypadku jest akurat na odwrót. Zatrucie wchodzi w fazę utajoną — najgroźniejszą. Występują zmiany zwyrodnieniowe komórek wątrobowych, nerek, mózgu. Pozornie jednak nie dzieje się nic. Prawie nic. Objawy, które pojawiają się po kilku dobach, będą już następstwem poważnego uszkodzenia wątroby. Będzie narastać ciężka żółtaczka, która w konsekwencji doprowadzi do śpiączki wątrobowej i do śmierci. Jeżeli to pana szczególnie interesuje, u dzieci zgon następuje najczęściej pomiędzy drugim i trzecim dniem od chwili zatrucia. Dorośli męczą się dłużej: o jeden, dwa dni.

— No dobrze, ale...

— Co my możemy zrobić? — doktor nie zamierzał pozwolić na odebranie sobie głosu. — Niewiele. Konkretnie: usunąć truciznę z żołądka i jelit, zobojętnić to, co zostanie, przez cały czas podtrzymywać czynności ustroju i podawać środki chroniące wątrobę. Niestety, to wszystko jest skuteczne tylko we wczesnej fazie zatrucia. No i rzecz najważniejsza: gdy wiadomo, że właśnie z tym zatruciem mamy do czynienia. Rozumie pan? Tylko dzięki szczegółowym procedurom wywiadu, informacji toksykologicznej, ustalonym sposobom postępowania śmiertelność przy tego typu zatruciach nic jest zbyt wielka i — jak twierdzą dane ponoć nic przekracza trzydziestu procent. No, a w tym wypadku — lekarz rozłożył ręce -- sam pan wie, jak naprawdę było.

— Trzydzieści procent? — kapitan nic dawał za wygraną. — To już coś...

— Bzdury. Już kilkanaście mikrogramów amanityny stanowi dawkę śmiertelną. My do tej pory mówiliśmy o zatruciach grzybami, drogi panie, nie zaś o zatruciach stężonym roztworem toksyny. Takich badań nikt nie przeprowadzał! O czym my tutaj w ogóle mówimy! — doktor zdenerwował się. — Kochany panie, niech pan sobie weźmie byle podręcznik medycyny i przejrzy tabele zawierające wskazówki do przeprowadzania zabiegów w wypadkach różnych zatruc. W wierszu *amonita phalioides* zobaczy pan same znaki zapytania! Można sprawdzić! Wie pan, dlaczego będziemy robić hemodializę? No? Ponieważ jest zalecenie ministerstwa zdrowia, że do 48 godzin od chwili zatrucia wskazane jest przeprowadzenie tego zabiegu. W tej fazie zatrucia wskazane jest przeprowadzanie wszelkich zabiegów, dających choć cień szansy na uratowanie życia! Zrozumiał pan to wreszcie?

— To znaczy...

— To znaczy, że wiemy bardzo mało. A dokładniej mówiąc — właściwie nic!

Otarł ręką spocone czoło.

— Przepraszam panów — powiedział. Pożegnam się już. Wyście znajdą panowie sami.

Nie mówiąc już ani słowa odwrócił się i odszedł sztywnym krokiem.

— No i co? — zapytał inspektor. — Skończył pan już? Możemy iść?

Odpowiedzi nie było. Zawadzki westchnął głęboko i powoli skierował się do wyjścia prowadzącego na korytarz szpitalny. Zaledwie pół godziny temu zakończył oględziny kilkunastu ofiar zatrucia. Miał ponadto za sobą szczegółowy przegląd podstawowych dokumentów i rozmowy z przedstawicielami dyrekcji stołecznego ośrodka. Odbył również dwie narady z ekspertami i wziął udział w konferencji z toksykologami i chemikami-organikami. Przeprowadził ponadto krótką, ale niezmiernie męczącą rozmowę z młodym lekarzem pracującym w ośrodku, który odpowiadał na co drugie pytanie i który w pewnym momencie zaczął głośno szlochać.

Obecnie był u kresu wytrzymałości.

Z każdą chwilą czuł to coraz wyraźniej. Korytarz zdawał się nie mieć końca. Każdy krok wymagał coraz większego wysiłku, a każdy głębszy oddech w szpitalnym zaduchu niemal wywoływał mdłości. Do tego jeszcze ci chorzy leżący na korytarzach; Miał naprawdę dosyć!

Kapitan dogonił go tuż przed wejściem. Na zewnątrz zdążyli jeszcze być mimowolnymi świadkami przyjazdu karetki reanimacyjnej wiozącej zakrwawione ofiary jakiegoś wypadku ulicznego, po czym starając się patrzeć pod nogi albo gdzieś wysoko w niebo dotarli do służbowego mercedesa.

— Osiedle Gocław — powiedział kapitan jakimś dziwnym, nieswoim głosem.

Samochód ruszył z piskiem opon i już w kilkanaście minut później znaleźli się tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Grupa trzech piętnastopiętrowych wieżowców nic wyróżniała się niczym szczególnym. Podobnie jak większość budowli tego nowego osiedla były one szare i pozbawione stylu. Wyglądały dokładnie tak, jak mogą w deszczowe listopadowe przedpołudnie wyglądać nowe, ledwo ukończone bloki wznoszące się wśród gór błota i stert porzrzucanych materiałów budowlanych.

Gdy podjechali bliżej, na skraju grzędawiska, które w przyszłości miało zapewne pełnić rolę reprezentacyjnej alei, inspektor dostrzegł sporą grupę gapiów. Przeważali w niej robotnicy z budowy. Poza tym było zupełnie pusto. Kilku funkcjonariuszy w mundurach i dwa radiowozy, stojące pod jednym z bloków stanowiły jedyną oznakę działalności milicji.

Grzęznąc po osie w gęstym błocie i zapadając się w głębokich koleinach mercedes podjechał pod dziewięciopiętrowy blok znajdujący się naprzeciwko grupy trzech wieżowców i zatrzymał się przed wejściem. Stojący pod drzwiami milicjant w przemoczonym do ostatka płaszczu opuścił swój posterunek i pomógł im wysiąść.

Byli na miejscu.

## Rozdział 3

---

Drzwi prowadzące do pomieszczenia zsykowego na szóstym piętrze były szeroko otwarte. Przed nimi stał technik z ekipy dochodzeniowej trzymając w wyciągniętej ręce reflektor z lampą jodową. Oślepiający snop światła ukazywał najmniejsze nawet zakamarki ciasnego wnętrza i przylegającej do niego części korytarza. Drugi technik manipulował przy zamku umieszczonym w drzwiach pomieszczeniu zsykowego i tak był zajęty swoją pracą, że nawet nie odwrócił się, gdy inspektor wraz z kapitanem z komendy stołecznej zatrzymali się dwa kroki od niego.

— To tutaj — kapitan wskazał ręką zaśmieconą podłogę. — Tutaj właśnie znaleziono zwłoki.

Inspektor zajrzał do środka. Istotnie, na szarym betonie, wśród resztek śmieci, kawałków suchego chleba i skrawków obierek zauważyć można było grubą, białą linię, której zarys przypominał sylwetkę leżącego człowieka.

— Zgodnie z tym, co mówił lekarz, śmierć nastąpiła wczoraj pomiędzy trzecią trzydzieści a piątą rano. Przyczyna — kapitan zajrzał do swojego notesu: — zmiżdżenie kości czaszki tępokrawędzistym narzędziem. Dostał o tu — kapitan dotknął ręką potylicy. — Tak. chyba dokładnie tutaj...

Zamilkł na chwilę, jakby chcąc upewnić się, że jego słuchacz przyjął do wiadomości to, co zostało powiedziane.

— No i co dalej? — zapytał Zawadzki.

— Zwłoki zostały tu zaciągnięte z korytarza. Wszystko przewidziano bardzo dokładnie: wkład w zamku od drzwi, które pan tu widzi, został wymieniony. Kiedy było po wszystkim, zamknięto drzwi na klucz, no i cześć. Żadnego ryzyka: o tej porze zazwyczaj nie wyrzuca się śmieci, a nawet gdyby ktoś koniecznie chciał to zrobić, to i tak nie mógłby dostać się do zsypu. Zwłoki leżały przez cały wczorajszy dzień i przez całą noc. Mogłyby pewnie leżeć tak jeszcze tydzień, gdyby nie tamta druga sprawa...

— Lokatorzy myśleli pewnie, że to dozorca zamknął zsyp.

Tamten popatrzył uważnie na swojego kolegę. Inspektor bezmyślnie obserwował poczynania techników. Wyglądał, jakby śnił na jawie. Zapewne nie słyszał w ogóle, co się do niego mówi.

Kapitan schylił się i położył dłoń na ramieniu jednego z techników.



— Co z tym zamkiem? Macie już coś? Technik nawet nie odwrócił głowy.

— Standard — mruknął pod nosem. — Wkładka typu „Yeti”. Jest tego w sklepach do diabła i trochę.

— Ile może trwać wymiana? Wzruszenie ramion.

— Ja bym to zrobił w trzy minuty. Ale to był amator, więc trwało to zapewne nieco dłużej.

— Amator?

— Właśnie.

Technik jednym ruchem wyjął z zamka mosiężną wkładkę. Pokazał ją z bliska kapitanowi.

— Widzi pan, żeby to wyjąć, trzeba zrobić dwie rzeczy: odkręcić tę śrubkę w zamku, co potrafi zrobić każde dziecko, a następnie za pomocą oryginalnego klucza USIHWJC bębnek w odpowiednim położeniu. Inaczej rygiel będzie zawadzał o obudowę zamka. Jak pan widzi, klucza nic ma, a wkładka wyjmuje się bez problemu. Dlaczego? Ano dlatego, że część obudowy zamka została wypilowana. Dokładniej mówiąc usunięto pewien jej fragment za pomocą wiertarki. Niby proste, a fachowiec poradziłby sobie bez takich szyskan.

— Ciekawe.

— Nic takiego. Wystarczy zwykła wiertarka elektryczna. Widzi pan, wewnątrz jest kontakt i — co ważniejsze podłączony do sieci. No, niech pan powie, po cholere w zsypie kontakt, co? Tutaj są na każdym piętrze!

Pokręcił głową z dezaprobatą i wrócił do swojej roboty. Stali przez chwilę w milczeniu, a potem zawrócili do wyjścia.

— Amator, słyszał pan? — kapitan odezwał się pierwszy. — Ciekawe...

Żadnej reakcji.

— Może chciałby się pan dowiedzieć czegoś o tym człowieku? — zapytał kapitan. — Kim był, co robił, jak się nazywał?

Inspektor skinął głową.

— Oczywiście, mówcie.

— Na razie wiemy niewiele - kapitan znowu otworzył swój notes. Nazywał się Sperkowicz. Antoni Sperkowicz. Mieszkał tutaj w tym domu, na parterze. Miał żonę i dwoje dzieci. Półtora roku temu zatrudniono go jako roznosiciela mleka. Oprócz tego pracował w jakimś zakładzie naprawczym pod Warszawą. Trochę pił, ale poza tym opinię miał dobrą. Nie karany. Czy pan mnie słucha, inspektorze?

— Tak, tak, mówcie dalej.

— Bo, zdawało mi się... Mniejsza o to, I tak dostanie pan dokładny raport... Pracował w sklepie, tu obok. Dostarczał mleko lokatorom z tych trzech bloków po drugiej stronie ulicy. Wszystkie dokumenty, listę odbiorców i całą resztę przygotowuje dla nas kierownik sklepu.

— To świetnie — inspektor ziewnął szeroko.

— Staramy się. Robimy wszystko, co należy, jak pan sam widzi... Ale wracając do tego Sperkowicza... Nie przyszedł na noc do domu. Dopiero wtedy zaniepokoiła się o niego żona. Dotychczas była pewna, że jak

zwykle poszedł prosto do drugiej pracy. W sklepie też byli pewni, że wszystko jest w porządku, Nie było żadnych skarg, wszyscy klienci dostali mleko... — kapitan przerwał na chwilę. — Dzisiaj oczywiście nie było już dostawy — dodał zupełnie bez potrzeby.

Zatrzymali się pod brudnym oknem, które nie wiedzieć dlaczego przyciągnęło uwagę inspektora. Obejrzał dokładnie ramę, parę razy spróbował je otworzyć, gdy jednak przekonał się, że jest zamknięte na głucho, machnął ręką i w jednej chwili stracił dla niego całe zainteresowanie.

Zawrócili w drugą stronę.

— Jest jeszcze jedna sprawa — zaczął niezmordowany kapitan. — Jego wózek...

— Co takiego?

— Wózek. Oni mają wózki na mleko. To chyba oczywiste. Otóż roznosiciel trzymał swój w wózkami na dole, zabezpieczony specjalną kłódką. Stało się tak... — kapitan zrobił krótką pauzę chcąc podkreślić szczególnie dramatyzm tego faktu — ... stało się tak, że kłódka została zastąpiona nową, do której nie pasuje żaden klucz.

— Ciekawe — mruknął inspektor chyba tylko po to, aby coś powiedzieć.

Idąc korytarzem dotarli z powrotem w okolice pomieszczenia zsykowego. Dwaj technicy stali pod ścianą paląc papierosy. Panował tutaj szary półmrok, którego nie był w stanie rozproszyć wąty strumień światła sączący się przez brudne szyby okna na klatce schodowej. Wyziwy wydobywające się ze zsypu przyprawiły o mdłości.

— Wysiadła żarówka — powiedział jeden z mężczyzn, zanim jeszcze kapitan zdążył otworzyć usta. — Samochód już pojechał do bazy.

Kapitan machnął ręką. — W porządku. Jak idzie?

— Jak pan widzi.

— Kiedy skończycie?

— Godzina, dwie, zobaczymy... Potem chyba przeniosą nas naprzeciwko. Panie inspektorze — powiedział po chwili unikając wzroku swojego zwierzchnika — Panie inspektorze, to chyba wariat, prawda?

Inspektor zastanawiał się przez chwilę. Nic jednak nie odpowiedział.

— Akurat — prychnął drugi mężczyzna. Ognik papierosa rozjarzył się mocniej, a potem w ogóle zgasł. — Wariat! — powtórzył ironicznie. Papieros został starannie rozgnieciony w metalowym pudełku, które następnie zostało schowane do kieszeni. — Wariat! Chyba wariaci!

— Może wzięlibyście się do swojej roboty, co? — kapitan niegrzecznie przerwał tę wymianę zdań, — I nie palcie tutaj!

— Moim zdaniem powiedział głośno technik — to robota dla kontrwywiadu. Tak jest — powtórzył z przekonaniem. — Tylko dla nich!

— Naprawdę? — kapitan najwidoczniej nie potrafił znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. — Naprawdę tak myślicie?

— Właśnie tak.

—A może dla Sherlocka Holmesa, co?

Technik opuścił głowę jak skarcony uczeń i uśmiechnął się krzywo. Dowcip był rzeczywiście wyjątkowo kiepski.

— Weźcie się wreszcie do roboty! — kapitan był coraz bliższy utraty równowagi psychicznej. — Prze-  
stańcie tutaj palić i weźcie się wreszcie do pracy! Widzi pan — syknął do inspektora, który odpoczywał wy-  
godnie oparty o ścianę i właśnie wyjmował z paczki papierosa. — Widzi pan, co się tutaj dzieje?

Inspektor nie odpowiedział. Był zmęczony, czuł się fatalnie i miał zupełnie dosyć tego dochodzenia.

## Rozdział 4

---

Siedział przy biurku w lokalu należącym do administracji osiedla i porządkował papiery. Od rana uzbierała mu się duża teczka raportów i ekspertyz, które swojemu następcy chciał przekazać w przyzwoitym stanie.

W ciasnym biurowym pokoju, gdzie mieścił się obecnie sztab akcji, warunki do pracy były dalekie od ideału. Przede wszystkim było zupełnie ciemno- słaba żarówka tłąca się pod sufitem zdawała się tylko pogłębiać mrok. Poza tym znajdowało się tu zbyt wielu ludzi: przy sąsiednim stole pochrapując cicho spał zmęczony kierowca, a z tyłu dochodziło głośne mlaskanie jakiegoś technika, spożywającego właśnie posiłek regeneracyjny. W dodatku zza okien dochodziło nieprzerwane bębnienie kropel deszczu o stalowy parapet. Pogłębiało to atmosferę smutku i beznadziei odbierając radykalnie ochotę do pracy.

Kapitan z komendy stołecznej obraził się. Kilkanaście minut temu wyszedł bez słowa zapewne po to, aby osobiście dopilnować przykładnego wykonania wstępnych czynności śledczych. Na szczęście jeszcze przed tym zdążył odebrać telefon z ministerstwa zapowiadający przybycie oficjalnych osobistości z resortu, prokuratury i kontrwywiadu. Była to bodaj jedyna pomyślna wiadomość tego dnia. Inspektor ani przez chwilę nie ludził się, że będzie kierował osobiście dochodzeniem i że jego rola może wykraczać poza granice chwilowego zastępstwa. Było tylu lepszych od niego.

Przez pół godziny zdołał uporządkować pokaźny stos dokumentów. Uporawszy się z ekspertyzami laboratoryjnymi zatrzymał się dłuższą chwilę nad szczegółowym wykazem trucizn przewidzianych do użycia jako broń dywersyjna do zatruwania żywności, wody i gleby. Była to bardzo interesująca lektura. Jak się okazało, amanityna, która interesowała go szczególnie, zajmowała na tej makabrycznej liście jedną z dalszych pozycji.

Największe uznanie budziła niewątpliwie klasyczna toksyna botulinowa, której porcja mieszcząca się w jednej łyżce wystarczy do wytrucia mieszkańców milionowego miasta.

Toksyna wydzielana przez laseczki teżca cieszyła się nieco gorszą opinią. Wytrucie mieszkańców milionowego miasta wymagało w jej przypadku już porcji zajmującej objętość całej szklanki. Duże nadzieje

budziła tetrodoksyna, którą utalentowanym chemikom japońskim udało się wyizolować z narządów rybkuli, a która wywoływała porażenia mięśni i ośrodka oddechowego. Ustępowała ona z kolei saksitoksynie, której ślady powodowały paraliż mięśni czaszki prowadząc do natychmiastowej utraty mowy, a następnie porażenia mięśni rąk, nóg i klatki piersiowej.

Inspektor podniósł głowę. Kierowca spał w najlepsze chrapiąc coraz głośniejsze, jego kolega natomiast wypił już herbatę i w tej chwili patrzył bezmyślnie w okno.

*Bufotoksyna — czytał dalej. - Śmierć w wyniku rozkojarzenia pracy serca. Kantarydyna — bolesna i głęboka neuroza tkanek- nieodwracalne uszkodzenie nerek i pęcherza moczowego prowadzące do śmierci. Amanityna...*

Zaczerpnął więcej powietrza i zabrał się do lektury.

Amanityna albo amanitatoksyna stanowiła około 60% trującej substancji zawartej w powszechnie występującym w naszym kraju muchomorze sromotnikowym. To ona sprawiała, że już 50 gramów tego grzyba uznawano za dawkę śmiertelną. Była związkiem białkowym, zaliczano ją do tzw. polipeptydów o dosyć skomplikowanej budowie. Wywoływała w całym organizmie prawdziwe spustoszenie; atakowała jednak przede wszystkim wątrobę. Tak jak powiedział lekarz, przy dłuższym okresie utajenia uszkodzenia były coraz cięższe. *Spadek glikogenu w wątrobie. zahamowanie syntezy białek. hipochloremia...* No tak, to mógł już sobie darować. *Alfa, beta, gama amanityna... Terapia... Przebieg zatrucia...* Wszystko się zgadzało. Następna pozycja: *nereitoksyna...* Nie, wystarczy!

Odłożył na bok plik kserokopii. Jeszcze kilka raportów, jeszcze dwie analizy — i to wszystko. Włożył papiery do plastikowej teczki. Spojrzał na zegarek. Pierwsza trzydzieści. Kierowca chrapał nadal, technik pogrążył się w lekturze wygrzebanej gdzieś starej gazety. Ciągle lało. Ziewnął. Gdy zaczął poważnie zastanawiać się nad przykrą perspektywą opuszczenia pokoju i odszukania swojego kolegi, szcęknięta klamka, drzwi otworzyły się i jak na zawołanie kapitan pojawił się w ponurym pomieszczeniu.

— Przyszło mi na myśl — zaczął otrzepując z wody przemoczony płaszcz — pomyślałem, że pewnie będzie pan chciał obejrzeć te bloki.. Przed przyjazdem tych oficjeli...

Skinął głową.

— A może — kapitan kontynuował popis gorliwości — jeszcze przed tym chciałby pan rzucić okiem na zabezpieczone materiały?

— Właśnie o czymś takim marzyłem. Kapitan skinął ręką w stronę technika i razem wyszli do sąsiedniego pokoju. Zawadzki udał się w ślad za nimi.

Na polecenie kapitana otwarto jeden z plastikowych pojemników, w których przechowywano materiały przed wysłaniem do laboratorium. Zawartość pojemnika stanowiły w większości butelki od mleka. Oprócz nich było także sporo innych drobiazgów. Przedmiot, na którego pokazaniu zależało kapitanowi szczególnie, znajdował się w czworokątnej torebce z folii. Był to zwykły kapsel od butelki na mleko.

— Niech pan popatrzy — wskazał miejsce położone kilkanaście milimetrów od krawędzi srebrzystego krążka. O, tutaj jest otwór. Z tej strony łatwiej go będzie zauważyć, z drugiej jest zupełnie niewidoczny.

Inspektor uważnie oglądał kawałek aluminiowej folii. Nie różnił się niczym od tysięcy kapsli od butelek na mleko, które miał okazję oglądać. Był tylko szczególnie brudny i powyginany, a cała zewnętrzna powierzchnia pokryta była plamami szarego nalotu przypominającego mieszaninę mleka i błota.

— To nie jest zwykły brud — wtrącił kapitan. - Nie mamy jeszcze wyników ekspertyzy, ale te plamy to jakaś specjalna substancja, która po wyschnięciu wygląda dokładnie tak, jak pan widzi. Dlaczego wysmarowano nią kapsel łatwo można się domyślić...

Inspektor podniósł torebkę z folii i popatrzył na nią pod światło. Tak, teraz wszystko było zrozumiałe. Tuż obok krawędzi kapsła można było dostrzec niewielki otwór, poprzednio zupełnie niewidoczny pod warstwą „brudu”.

— Igła od strzykawki — odezwał się znowu kapitan — zostawia dokładnie taki sam otwór.

Inspektor oddał torebkę technikowi.

— Macie już dokładny wykaz odbiorców?

— Niestety. W sklepie są jakieś problemy...

— A przy zwłokach nic nie znaleźliście?

— Nic.

— W domu?

— Też nic. Chce pan porozmawiać z rodziną? — zapytał kapitan. — Mieszkają tu obok, kilka drzwi dalej.

—Bez przesady — wzruszył ramionami. — To przecież nie moja sprawa.

— Ale te bloki obejrzy pan, prawda? Wrócili po płaszcz inspektora i wyszli na zewnątrz. Choć wydawało się to niemożliwe, pogoda chyba jeszcze się pogorszyła. Zrobiło się ciemno, jakby za chwilę miał zapaść zmrok, a gęsty dokuczliwy deszcz zamienił się w prawdziwą ulewę.

Klnąc usiłowali przedostać się na drugą stronę jezdnii. Wąska ścieżka ułożona z kamieni już dawno utonęła w głębokim jeziorku, a wszędzie w pobliżu rozpościerało się bezkresne grzędawisko. Za cenę ubłoconych do kolan spodni udało im się wreszcie zrealizować swoje plany i dotrzeć do wejścia do jednego z bloków.

Pod drzwiami stało dwóch funkcjonariuszy w szaroniebieskich ortalionowych płaszczach i kilkunastu gapiów. Jedni i drudzy wyglądali na przemoczonych i zziębniętych i nawet nie zareagowali, gdy kapitan bez słowa otworzył drzwi i wpuściwszy przed sobą inspektora wszedł do środka.

Nie było to przytulne wnętrze. W ciemnym hallu pomalowanym do połowy ciemnoniebieską farbą olejną i upstrzonym dziesiątkami rysunków i napisów było równie zimno, co na zewnątrz. Na podłodze stały kałuże wody. Pachniało mokrym cementem i środkami używanymi do dezynfekcji zsypów. Inspektor wstrząsnął się z obrzydzeniem.

Obie windy stały na parterze. Drzwi ich były szeroko otwarte. Wewnątrz, w świetle lamp jodowych, pracowali technicy ekipy dochodzeniowej.

— No i jak idzie? — zapytał kapitan. Jeden z mężczyzn klęczący na podłodze windy wyprostował się.

— Raczej średnio, panie kapitanie. Użyto prawdopodobnie tej właśnie windy. Na podłodze znaleźliśmy ślady, które od biedy można uznać za resztki tej trującej substancji. Na razie to wszystko.

— Niewiele — mruknął pod nosem inspektor.

— Fakt — odparł technik. — Ale od wczoraj rana tą windą jeździło ładne kilkaset osób. W tych okolicznościach to, że udało nam się w ogóle coś znaleźć, należy uznać za cud.

Kapitan skinął głową i technik wrócił do pracy. Poszli dalej. Ciemny korytarz wyglądał tak samo jak każdy korytarz w nowym bloku. Niezbyt czyste ściany, niemiła woń dochodząca ze zsypu, zabłocona podłoga. Tak samo było na pierwszym i na drugim piętrze. Gdzieś tam stały jeszcze pod drzwiami puste butelki na mleko. Tego dnia nie było już dostawy.

Inspektor zatrzymał się pod drzwiami jednego z mieszkań. Pod pustą butelką stojącą na wycieracze leżała złożona we czworo kartka papieru. Ostrożnie podniósł ją z podłogi. W środku znajdował się złożony również we czworo dwudziestozłotowy banknot. Na kartce można było dostrzec kilka zdań napisanych odręcznie: *zapomnieliśmy wczoraj wystawić butelkę — przeczytał. — Dziękujemy bardzo za mleko, które pomimo to pan zostawił. Lokatorzy spod 18.*

Poczuł na plecach zimny dreszcz. Dziękujemy za mleko... Trzeba umieć korzystać z okazji. Tym nie bardzo się to udało.

Pokazał kartkę kapitanowi, a potem położył ją na swoim miejscu. Poszli dalej ciemnym korytarzem. Zanim sprawdzili wszystkie piętra i znaleźli się pod ostatnimi drzwiami oznaczonymi numerem 95. minęło pół godziny, „Winda, manipulacje z butelkami - pomyślał inspektor. — Należałoby doliczyć jeszcze z dziesięć minut”.

— No i co pan o tym sądzi?

— O czym?

— No, jak to? — kapitan roześmiał się. — O tym wszystkim? O całej sprawie?

Inspektor westchnął głęboko.

— Pan mi pewnie nie uwierzy, kapitanie — powiedział po chwili namysłu — ale zapewniam, że od dawna interesuję się tylko tym, co do mnie należy. Rozumie pan? A tak przy okazji — oni chyba powinni już być, prawda?

Kapitan spojrzał na zegarek i skinął głową.

Spotkali ich w hallu. Przyjechało aż sześć osób. Dwie z nich inspektor znał tylko z telewizji, starszego jegomościa w generalskim mundurze miał okazję widzieć przez krótką chwilę na jakiejś naradzie w resorcie. O pozostałych dwóch panach w ciemnych garniturach nie mógł powiedzieć zupełnie nic. Podobnie było w wypadku szóstej osoby — młodego, atletycznie zbudowanego człowieka ubranego w skórzaną kurtkę i kraciaste spodnie.

Zaczęły się powitania i prezentacje. Inspektor nie zdażył zamienić z nowo przybyłymi nawet kilku słów, młody człowiek bowiem chwycił go za ramię i bezceremonialnie odciągnął na bok. Poczuł silne uderzenie w plecy. Zagryzł wargi i starając się za wszelką cenę opanować uściśnął wyciągniętą dłoń.

— Major Nałęcz, Krzysztof Nałęcz.

— Bardzo mi przyjemnie — odparł zimno.

— No, bez urazy, inspektorze...

Wielka jak befsztyk dłoń zawędrowała znowu na jego ramię.

— Będziemy współpracować. Pewnie jeszcze pan nie wie, że został pan szefem zespołu operacyjnego powołanego do schwytania tej bandy. Nasza pomoc na pewno przyda się panu!

Zapach piwa wydobywający się z ust majora był po prostu nieznośny. Ponadto ten okropny sposób mówienia, sprawiający, że gorący, wilgotny oddech czuło się aż na dnie ucha!

— Jak wrócimy do sali, zostanie pan oficjalnie poinformowany o wszystkim. Zazdroszczę panu tej chwili — major roześmiał się gromko. — Pan jeszcze nie wie, co to oznacza! Wszystkie pełnomocnictwa! Wojsko, obrona cywilna, flota, lotnictwo — wszystko na pana rozkazy! Jak pragnę zdrowia, żaden milicjant nie miał nigdy takiej władzy! No! — kolejne trzepnięcie w ramię mogło powalić bawołu. — Co pan teraz czuje?

Inspektor zastanawiał się przez chwilę,

— Szczerze?

— Jasne!

— Cholernie boli mnie ręka.

## Rozdział 5

---

— Panie majorze...

Siwowłosy mężczyzna podniósł głowę znad biurka.

— Tak?

— Kapitan Zawadzki do pana majora. Sekretarka otworzyła szerzej obite skórą drzwi i odsunęła się robiąc miejsce dla nowo przybyłego.

— Czy podać herbatę?

Major popatrzył uważnie na swojego gościa i pokręcił głową. W tym wypadku potrzebne były bardziej radykalne środki.

— Siadajcie.

Przez długą chwilę panowała kłopotliwa cisza.

— No, co, napijecie się czegoś? Co byście powiedzieli na przykład na kieliszek jarzębiaku? — major sięgnął do bocznej szafki biurka. — Wyglądacie niezbyt dobrze.

Cisza.

— No, gołnijcie sobie. To czasem pomaga.

— Panie majorze...

— Spokojnie — dwa kieliszki napełniły się złotym płynem. Przede wszystkim: spokój. Odprężcie się, wyluzujcie...

— Panie majorze, nie chciałbym zabierać panu czasu. Tylko jedno pytanie.

— No! — życzliwy uśmiech.

— Czy mógłbym zrezygnować? Major nagle spowaźniał.

— Zrezygnować — z czego? Z pracy u nas?

— Nie o to mi chodziło...

— A o co? Co wy, żarty sobie ze mnie robicie! Chcecie — to rezygnujcie. Nikt was tu nie będzie siłą trzymał.

Major odwrócił głowę i popatrzył gdzieś w bok.

— Czy jednak... ktoś inny...

— Ktoś inny? Kto na przykład?

— To miało być przecież tylko zastępstwo...

— No i co z tego? Co z tego, powtarzam — major mówił teraz cichym, stanowczym głosem. — Miało być tak, a jest inaczej!

— No dobrze, ale...

— Nie zwracajcie mi dupy. Przepraszam was bardzo, ale nie mam czasu. Jesteście wolni, kapitanie. — Czy to wszystko? Cisza.

Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, a major zdawał się być bez reszty pochłonięty lekturą dokumentów, podniósł się z miejsca i wyszedł ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Rozmowa była skończona.

Zszedł na drugie piętro, gdzie kilku pracowników ubranych w robocze kombinezony porządkowało jedną z sal konferencyjnych. Przyszła siedziba sztabu akcji wyglądała bardzo okazale. Długie stoły przykryte zielonym suknem, wielkie płaszczyzny okien, lśniąca posadzka. Widok psuły tylko porozstawiane torby i porozrzucane narzędzia techników, którzy podłączali właśnie dodatkowe aparaty telefoniczne. Po chwili w drzwiach pojawił się jakiś starszy człowiek, który z wysiłkiem wtaszczył do środka dwa polowe łóżka.

„Zaczyna się” — pomyślał z przerażeniem.

Wyszedł na korytarz. Gdyby sądzić o pozycji człowieka z ilości ukłonów i uśmiechów, które kieruje się pod jego adresem, był w tej chwili najważniejszy w całym gmachu. Po kilku minutach znudzony całą tą farsą podszedł do okna i zajął się obserwowaniem ponurego widoku za szybą.

Miał naprawdę dosyć. To, co teraz odczuwał, nie było zwykłą obuwą czy lękiem. Był to głuchy, tępy, paraliżujący strach. Wiedział doskonale, jak się to wszystko odbędzie, mógłby opisać w najdrobniejszych szczegółach każdy z kolejnych dni dochodzenia. Co gorsza — wyobrażał sobie doskonale również i koniec całej sprawy. Koniec sprawy i koniec swojej kariery.



Mocne uderzenie w plecy i głośny wybuch śmiechu, który rozległ się tuż nad uchem, przerwały te po-  
nure rozmyślania. Odwrócił się. Przed nim I triumfującą miną stał major Nałęcz.

— Chyba będzie można powiedzieć tym facetom, żeby dali spokój — powiedział wskazując skinieniem  
głowy porządkujących salę.

Mocno zaciśnięte pięści rozluźniły się. Mieli przecież pracować razem.

— Dlaczego? — uśmiechnął się przyjacielsko. — Macie już coś?

— Tylko sza! — major porozumiewawczo mrugnął okiem. Pamiętacie, jak razem oglądaliśmy te blo-  
ki? Jak ten kapitan pokazał nam tę kartkę z napisem, że dziękujemy za mleko i takie tam...? Od razu mnie  
coś w tym uderzyło. Sprawdziłem więc tych ludzi. I wie pan co? Mieli szczęście — wprost niebywałe  
szczęście. Proszę sobie wyobrazić, że nikt z nich nie zachorował. Nikt! Jakaś wrodzona odporność czy jak  
to tam nazywają ci cholerni lekarze... Ale wie pan, te numery to nie ze mną! Sprawdziłem ich — powta-  
rzam: sprawdziłem dokładnie. I wie pan co? Pasują! Pasują nam, jak cholera!

— Doprawdy?

— Jasne. Braciszek tego gościa jest za granicą. On sam utrzymuje jakieś podejrzane kontakty. Już ja z  
nich wszystko wycisnę!

Inspektor musiał zdobyć się na niemały wysiłek, aby powtórnie rozluźnić zaciśnięte pięści.

— Wiecie co — uśmiechnął się. — Poczekajcie jeszcze. Nie ma co się spieszyć. Może uda nam się zna-  
leźć lepszych kandydatów...

## Rozdział 6

---

Wyników można było tylko pogratulować. Jeżeli komuś zależało na zgładzeniu dokładnie pięćdziesięciu  
sześciu osób — to zadanie zostało wykonane w stu procentach. Jeżeli natomiast liczone na lepszy wynik —  
to i tak osiągnięcie ponad sześćdziesięciu procentowego wskaźnika śmiertelności można było uznać za suk-  
ces. Gdyby zresztą nie sprawna i skuteczna akcja służby zdrowia, mogłoby być znacznie gorzej. Zmarłoby o  
kilkadziesiąt osób więcej, a przy tym na pewno wzrosłaby liczba ofiar śmiertelnych wśród dzieci i osób ze  
słabszym zdrowiem. Inspektor ani na chwilę nie mógł zapomnieć dziewczynki ze szpitalnej sali. Niestety,  
zarówno jej nazwisko jak i nazwiska wszystkich osób, które w krytycznym okresie wyjechały z miasta, zna-  
lazły się na liście ofiar.

Kto mógłby nienawidzić jej tak bardzo? Kto mógłby tak bardzo nienawidzić wszystkich tych osób? Od-  
powiedzi na te pytania po prostu nie mieściły się w głowie. Annały kryminalistyki odnotowywały wpraw-  
dzie wiele masowych morderstw będących dziełem terrorystów bądź szaleńców, którzy z najróżniejszych,  
trudnych do wytłumaczenia pobudek zatruli leki, środki spożywcze bądź też otwierali z karabinów ogień  
do bezbronnego tłumu. Wszystko to jednak z reguły działo się gdzieś daleko, w innym kraju, wśród innych  
ludzi. U nas, na miejscu były co najwyżej morderstwa na tle seksualnym dokonywane przez osobników,  
którym dziennikarze nadawali fantastyczne miana „wampirów” czy „skorpionów”. To jeszcze można było  
zrozumieć... Ale pięćdziesiąt sześć osób, w tym ponad połowa kobiet i dzieci, zgładzonych właściwie bez  
powodu — to było zupełnie nie do pojęcia.

Była sobota, 22 dzień listopada. Sala konferencyjna na drugim piętrze budynku komendy była rześcicie oświetlona. Za długim stołem przykrytym zielonym sukniem siedziało kilkanaście osób, których nazwiska i twarze inspektor — żyjący z dala od spraw wielkiej polityki i rozgrywek na najwyższych szczeblach władzy nigdy nie mógł zapamiętać. Wszyscy uważnie słuchali końcowych fragmentów wystąpienia majora Nałęczca. Mówca przedstawiał właśnie wnioski, płynące z dotychczasowych ustaleń.

Jego zdaniem stwierdzić można było ponad wszelką wątpliwość, że przestępstwa dokonała zorganizowana grupa dywersyjno-terrorystyczna. Znakomite rozpoznanie terenu, staranne przygotowanie najdrobniejszych szczegółów, bezbłędny dobór środków oraz idealne współdziałanie świadczyły, że mamy do czynienia z działalnością fachowców najwyższej klasy. Do uszu inspektora dobiegły jeszcze gorące zapewnienia o gotowości podjęcia wszelkich wysiłków w celu wykrycia sprawców- przestępstwa oraz apel o przyznanie wszystkich niezbędnych do tego celu środków; potem major podziękował za uwagę i zakończył przemówienie. Oklasków nie było — zamiast nich dał się natomiast słyszeć głośny szmer aprobaty. Potem wszystko ucichło i o zabranie głosu poproszono kapitana Andrzeja Zawadzkiego z Komendy Głównej MO.

Inspektor ziewnął głęboko i poprawił się na krześle.

— Proszę panów — zaczął patrząc gdzieś w sufit — ja zrobiłbym to tak... Przede wszystkim — mówił nie zwracając uwagi na głośne szepty — przede wszystkim: zdobycie toksyny... Wyizolowanie odpowiedniego roztworu z dużej ilości świeżych grzybów jest dosyć trudne, ale, jak mnie zapewniono, możliwe nawet w domowych warunkach.

Szepty nie chciały ucichnąć. Chrząknął głośno i zrobił krótką pauzę.

— Co dalej? Wymiana zamka w drzwiach komory zsykowej... Jest to, proszę panów, operacja dosyć prosta, którą wykonać może każdy posiadacz wiertarki elektrycznej. Trzecia sprawa: rozpoznanie terenu. Zostało ono przed chwilą ocenione bardzo wysoko — zdobycie jednak wszelkich niezbędnych informacji wymaga praktycznie kilku wieczorów i dla przeciętnie inteligentnego człowieka nie jest bynajmniej sprawą trudną...

Szepty były coraz głośniejsze. No i bardzo dobrze!

— Co dalej? Sklep jest jednym z pierwszych w kolejności dostaw. Zaopatruje go Spółdzielnia Mleczarska w Karczewie. Dostawa mleka, jak mnie poinformowano, odbywa się zazwyczaj około północy. Potem skrzynki z mlekiem stoją na rampie. Nikt ich oczywiście nie pilnuje, bo i po co? Tak się dzieje zresztą we wszystkich sklepach spożywczych. Wystarczy więc podjechać wózkiem pod rampę i zabrać skrzynki. Kradzież wózka stojącego w pomieszczeniu dostępnym wszystkim mieszkańcom bloku stanowi problem o wiele mniejszy niż na przykład kradzież samochodu z ulicy...

Sala ciągle nie chciała się uciszyć.

— Panie kapitanie, przepraszam — usłyszał jakiś donośny głos. — Proszę panów, rozumiem, że teoria inspektora Zawadzkiego jest dosyć oryginalna, ale dajmy mu dokończyć! — major Adamiec znalazł się, jak zwykle zresztą, bezbłędnie. — Aha, i jeszcze jedno: inspektor jest człowiekiem dorosłym i odpowiada w pełni za to, co mówi. Prosimy, panie kapitanie.

— Trzy bloki, w sumie dziewięć skrzynek mleka. Nie jest to zbyt wiele: ponad półtorej godziny pracy. W tym wypadku musimy oczywiście doliczyć co najmniej drugie tyle na czynności dodatkowe, których normalnie roznosiciel nie wykonuje. Dysponujemy więc mniej więcej godziną na każdy blok. To powinno wystarczyć. Zestawienie skrzynek z wózka, wniesienie ich do windy — jakieś dziesięć minut. Dalej: wjazd windą na najwyższe piętro, aby ograniczyć do minimum możliwość spotkania kogokolwiek — i w spokoju można zabrać się do pracy. Strzykawka, pojemnik z roztworem toksyny, substancja maskująca... Trzy, czte-

ry skrzynki — to wydaje się dużo, ale sędzę, że pół godziny, czterdzieści minut powinno wystarczyć, prawda?

Nikt nie odezwał się ani słowem

— Teraz pozostaje już tylko rozniesienie butelek. Listę odbiorców można bez specjalnych kłopotów przygotować samemu. W tym celu wystarczy pokręcić się dowolnego dnia wcześniej rano po korytarzach, Rozniesienie butelek trwa trzydzieści do czterdziestu minut. Po zakończeniu wszystkich operacji mamy więc na zegarku godzinę trzecią, trzecią trzydzieści. Teraz należy tylko odwieźć skrzynki z pustymi butelkami na rampę i to możliwie jak najszybciej. Ryzyko rośnie bowiem z każdą minutą. Roznosiciele mogą bowiem już za chwilę rozpocząć pracę. Sędzę jednak, że około trzeciej, trzeciej trzydzieści nasz X może czuć się jeszcze bezpieczny, zostawia skrzynki na rampie i razem z wózkiem wraca do bloku, z którego go zabrał.

„Królestwo za papierosa” - pomyślał inspektor. Niestety, prawie pełna paczka została w kieszeni płaszcza.

— Teraz wszystko jest już zupełnie proste. Należy pozostawić wózek w wózkami i poczekać gdzieś w pobliżu, aż roznosiciel wyjdzie do pracy o tej porze jest zupełnie ciemno, nie ma również zbyt wielu ludzi. Można więc niepostrzeżenie obezwładnić . -nosiciela, przenieść go do windy, a następnie zawlec do zsypu na wyższym piętrze i tu dokończyć dzieła zabijając go. Cisza.

— Wystarczy już tylko zamknąć drzwi od pomieszczenia zsykowego, przekręcić klucz w zamku i spokojnie odejść. Ciało zostanie znalezione najwcześniej za kilka godzin - jednak na pewno nie wcześniej. niż toksyna zacznie działać. W sprzyjających okolicznościach nastąpi to dopiero po upływie doby. Każdy, kto dokonał tej zbrodni, może więc czuć się zupełnie bezpieczny.

Zakaszłał głośno.

— Każdy, kto to zrobił... Słowo „każdy” ma tu, panowie, znaczenie zasadnicze. Z tego, co zostało dotychczas powiedziane, wynika bowiem jednoznacznie, że sprawcą mógł być niemal każdy człowiek. Żadne specjalne umiejętności ani wyposażenie nie były w tym wypadku konieczne

Inspektor zamilkł na chwilę.

—To wszystko. Mają panowie do dyspozycji druga wersje zdarzenia. W świetle znanych dotychczas taktów jest ona równie prawdopodobna co poprzednia. Oczywiście ma pewien mankament. Mianowicie: motyw — inspektor zająknął się. — Przyznam, że nie potrafię... nie mogę obie wyobrazić żadnego powodu, który mógłby...

Zamilkł.

— To wszystko.

## Rozdział 7

---

Jaworski, Dębski, Adamek początek długiej listy ofiar znalazł na pamięć. Drzewiecki. Ziemiński. Ziemińska. Nowicki. Sempolowski. Szeffler. Galiński. Pedorkiewicz. Siec. Małkowski. Sztompka. Sawicka. Baranowska. Michalak. Derfel, Zięba. Bajan, Szczepański. Malecki;. Deptuła. Gorewicz, Malinowska, Jackiewicz, Ferensztajn. Sikorska. Drewnowska. Czekalla. Prankowski. Manicka. Napiórkowski. Górka, Leszczyński. Zanimrowska. Kołodziej. Fijałkowski, Zagórski, Balicki. Zadrowski. Szczotkowska, Brach. Gumowski. Wasilewski. Marek. Zając. Markowski. Stankiewicz. Bobrowski. Trześniewski. Kurowski. Miller, Olszowska. Cholewiński. Grigo. To byli wszyscy. Komplet. Pięćdziesiąt sześć osób zgładzonych nie wiadomo po co ani przez kogo.

Mógł sobie wybierać. Szukać motywów, analizować możliwości, do woli łamać sobie głowę nad wszystkimi ewentualnościami. Materiału miał pod dostatkiem. Zbrodnia w nowoczesnym stylu nic pozwalała zaudać się żmudnym badaniem motywów i szans trzech czy czterech kandydatów na odegranie roli mordercy. Nie. wszystko poszło naprzód: w tym wypadku kandydatów było kilkuset, a może kilka tysięcy, a może jeszcze więcej.

Manicka. Napiórkowski, Górka — przeczytał po raz setny trzy nazwiska zajmujące początek jednej z kartek. Lokale: numer 6. numer 12. numer 19. Druga kartka: numer 5. numer 7. numer 11 i znowu trzy nazwiska. Nazwiska, które nie mówiły absolutnie nic. Kolejne kartki z listy lokatorów - nazwiska mieszkańców trzech nowych bloków w jednym z warszawskich osiedli.

Joanna Manicka — technik poligraf. Zatrudniona od 12 lat w Domu Słowa Polskiego Rozwiedziona. Matka; dwojga dzieci Roman Napiórkowski — inżynier Przemysłowy Instytut Motoryzacji. Stan wolny. Mariusz Górka — ślusarz. Obecnie na emeryturze.

Zwykli, przeciętni ludzie. Starzy i młodzi, samotni i z rodzinami. Ludzie, którzy nie wyróżniali się niczym szczególnym. Jak świadczyły szczegółowe dane. które studiował od wielu dni. ludzie ci nic mieli ze sobą absolutnie nic wspólnego, mogli co najwyżej spotkać się czasami w windzie czy przy wynoszeniu śmieci i czasem przypadkowo zamienić ze sobą kilka słów. Było to bodaj jedyne, co ich łączyło. Oprócz tego musiał być jeszcze jakiś inny powód. coś. co sprawiło, że ich nazwiska znalazły się wspólnie na liście ofiar. By! o tym przekonany.

Był wtorek. 24 stycznia, siedemdziesiąty ósmy dzień dochodzenia. Inspektor Zawadzki siedział bezczynnie za biurkiem i po raz kolejny przeglądał dokumenty. Roboty miał pod dostatkiem. Cały pokój zasłany był warstwami białych arkuszy papieru, szarych teczek kancelaryjnych i opasłych tomów akt. Na podłodze poza wąską ścieżką prowadzącą od drzwi do biurka i dalej do połowego łóżka stojącego pod ścianą nic było ani skrawka wolnego miejsca. Grube drewniane półki dwóch regałów wniesionych do gabinetu ponad miesiąc temu ugięły się pod ciężarem stek papieru, a stosy akt leżące na parapecie sięgały niemal do połowy okna skutecznie ograniczając dopływ światła. Na obu biurkach, w szafie, we wszystkich szufladach, kipiał ocean papieru. Białe płachty wydruków komputerowych, brązowe teczki, szare okładki segregatorów — wszystko mieszało się ze sobą w jednym beładnym zamęcie, którego widok każdego sumiennego urzędnika mógł przyprawić o zawał serca.

W pomieszczeniu znajdującym się piętro niżej, tam gdzie mieścił się sztab całej akcji, było zresztą jeszcze gorzej. Dopóki dochodzenie miało absolutny priorytet i pozwalano im na wszystko, jakoś nikomu to nie przeszkadzało.

Miller. Olszowska. Cholewiński - odczytał kolejne nazwiska. Numery 67. 52 i 3ft. Ukarz, dziewięcioletnia dziewczynka i wojskowy. Życiorysy, akta personalne, zeznania świadków. W pierwszym wypadku dysponował szczegółową relacją kolegi lekarza psychiatry, który razem z doktorem Millerem brał udział w wyjazdowej sesji naukowej w Starej Dąbrowie; w drugim przypadku miał pełne zeznania babki ofiary: w trzecim natomiast szczegółowego opisu przebiegu zdarzeń dostarczyli dwaj inżynierowie z jednostki wojskowej stacjonującej gdzieś pod Wrocławiem. Poza wnioskiem, że niezbyt dobrze jest umierać z dala od specjalistycznych placówek medycznych, z zeznań tych nic wynikało absolutnie nic. Nic było najmniejszego punktu zaczepienia.

Inspektor wyciągnął się na krzesło i zamknął oczy. Był śmiertelnie zmęczony. Siedemdziesiąt osiem dni harówki i ciągłego napięcia. Siedemdziesiąt osiem dni bezowocnych poszukiwań. Konferencje, narady i posiedzenia, dyskusje z ekspertami, rozmowy, przesłuchania, spory i zwykle kłótnie. I nic. Zupełnie nic.

Toksyna... Sprawdzili wszystkie możliwości Laboratoria, szkoły, wyższe uczelnie. Zawodowcy i amatorzy. Zakład) pracy, szpitale, placówki usługowe. Przestudiował całą dostępną literaturę na temat biologicznych środków trujących. Wynikało z niej niedwuznacznie, że nic trzeba ani specjalnego wyposażenia, ani umiejętności, aby wyprodukować odpowiedni roztwór amanitatoksyny. Wizyta w paru bibliotekach upewniła go, że wszelkie informacje na ten temat dostępne są wszystkim zainteresowanym.

Siady przestępstwa... Nic. Zupełnie nic. Dopiero po schwytaniu sprawcy będzie można rozstrzygnąć słuszność paru pomysłowych teorii wymyślonych przez panów ekspertów.

Podejrzani. Szczegółowa penetracja najróżniejszych środowisk nie przyniosła absolutnie żadnych rezultatów. Osobiście przesłuchiwał kilkunastu byłych pacjentów szpitali psychiatrycznych, którzy najbardziej odpowiadali domniemanym charakterystykom. Nic. Wśród nich nie znalazł nikogo wystarczająco inteligentnego i energicznego, kto mógłby przeprowadzić całą akcję.

Szpiedzy, terroryści i dywersanci... Na ten temat nic miał pełnych informacji, jako że sprawa formalnie leżała w gestii jego najbliższego współpracownika — majora Nałęcz. Wiedział tylko, że kilkanaście osób, które jak dotąd zostały zatrzymane, trzeba było po przeprosinach wypuścić. Ani do komendy, ani do żadnej jednostki administracji państwowej nie dotarła jak dotąd żadna wiarygodna informacja o istnieniu organizacji, która wzięłaby na siebie ciężar odpowiedzialności za popełnione przestępstwo. Nie było żadnych prób szantażu, żadnych żądań. Nic. Po prostu nic.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia! się bilans dochodzenia po siedemdziesięciu ośmiu dniach. Brak rezultatów. Zero. Żeby uzyskać ten wynik, pięciu najlepszych ekspertów z komendy głównej wraz z kilkunastoma współpracownikami w całym kraju pracowało siedemdziesiąt osiem dni, po piętnaście — szesnaście godzin dziennie Zgromadzono kilka ton makulatury, wypalono kilka cystern benzyny, przeprowadzono kilka tysięcy rozmów telefonicznych. No i co? Równie dobrze można było zrezygnować na samym początku dochodzenia.

Inspektor podniósł głowę i spojrzął na zegarek. Prawie jedenasta. Ziewnął rozdzierająco i opierając się rękami na biurku spróbował wstać z krzesła. Nie udało się. Był słaby jak dziecko. Spróbował jeszcze raz. Jakoś poszło... Zataczając się jak pijany dotarł do łóżka stojącego pod ścianą i rzucił się na koc. Po bezsennej nocy spędzonej nad papierami zawsze czuł się fatalnie. Ale żeby tak...

Miller. Olszowska. Cholewiński, powiedział ktoś szeptem. Miller, Olszowska. Cholewiński... Rozpoznał swój głos. Numery: 67.52 i 39. Nie. 38. Miller. Olszowska, Cholewiński. Usiadł na łóżku. Wariactwo. Kompletnie wariactwo.

Pochylił się i podniósł z podłogi pudełko z elektryczną maszynką do golenia. W środku było lusterko... Kiedy zobaczył odbicie swojej twarzy, westchnął cicho. Kilka razy był już w nic najlepszej formie. Nigdy jednak nie wyglądał tak źle. Czarne sińce pod oczami, biała jak pergamin skóra, dwudniowy zarost. Przypomina! gościa hrabiego Nosferatu tuż przed końcem pobytu w Transylwanii.

Włączył maszynkę do kontaktu i zaczął się golić. Trwało to prawie piętnaście minut, ale w końcu dopiął swego. Wyglądał już nieco lepiej.

Następnym posunięciem było włączenie elektrycznego czajnika i zagotowanie resztek wody. Stare fussy od kawy wylądowały w przepelnionym koszu na śmieci, a kopiaista łyżka brunatnego proszku (specjalny przydział) znalazła się na dnie brudnej szklanki. Woda zagotowała się w minutę.

Pierwszy łyk i poczuł się prawie jak normalny człowiek. Drugi... Pod powiekami czuł ostre, szkliste ziarenka piasku, ale było już trochę lepiej. Niepewnym krokiem dotarł do biurka i ostrożnie — jakby bał się uszkodzić jakiś cenny mechanizm, który ledwo poruszał się wewnątrz ciała — wspierając się na rękach opartych o blat ostrożnie usiadł. Udało się.

Przeraźliwy dźwięk, który mógłby rozsadzać mury. wprost poraził słuch. Poczul, że serce przestaje mu bić. a czaszkę rozrywa jakaś straszliwa siła. Zmartwiałe palce rozsunęły się same. Szklanka z kawą upadła na blat biurka i brunatna struga chlusnęła na rozłożone papiery.

Zadzwonił telefon.

Starając się ocalić dokumenty sięgnął po słuchawkę. Płaski, matowy głos. Pułkownik Jak mu Tam.

— Halo — powiedział z wysiłkiem. — Halo...

— Jesteście tam? Co się z wami dzieje? Nie odpowiedział.

— Dlaczego nie jesteście na naradzie?

— Na czym?

— Na naradzie.

A rzeczywiście, narada... Kwadrans po jedenastej. No tak, to już się zaczęło...

— Dzwoniliśmy do was. Nikt nie odpowiadał. Dzwonili. Nikt nie odpowiadał. Pewnie akurat spał.

— Słyszycie mnie? Może wzięlibyście się w garść, co? Chyba już czas najwyższy.

— Chyba tak — odpowiedział bezmyślnie. — Chyba tak.

— To dobra rada — powiedział głos w słuchawce. — Zastanówcie się nad nią.

Głos zamilkł na chwilę. Potem rozległ się cichy trzask. Odłożono słuchawkę. No i dobrze.

Miller. Olszowska, Cholewiński — przeczytał na zalanym kawą arkuszu papieru. Lekarz psychiatra, dziewięcioletnia dziewczynka, wojskowy. Numery: 67. 52, 38.

## Rozdział 8

---

Sztab całej akcji mieścił się w sali konferencyjnej na drugim piętrze budynku komendy. Obecnie sala ta nie nadawała się nawet do przeprowadzania czysto towarzyskich zebrań. Inspektor powtarzał to wielokrotnie przestrzegając przed próbami pokazywania jej komukolwiek z zewnątrz, a już zwłaszcza przedstawicielom władz najwyższych resortu z niezmiennym zainteresowaniem dopytujących się o wyniki i powstępy pracy. Nic usłuchano go jednak. Zwołana pod jego nieobecność narada miała odbyć się właśnie w tym miejscu.

Cel i sens organizowania tej imprezy nic był dla inspektora do końca jasny. Nieokreślona pozostała również osoba pomysłodawcy. Inspektor zastanawia! się, czy rolę tę pełnił pułkownik, którego miał przyjemność poznać już wcześniej i który teraz słuchał uważnie wystąpienia inspektora Ilczuka, czy też niepozorny cywil w szarym garniturze rozglądający się uważnie dookoła. Inspektor dałby wiele, aby poznać myśli tego człowieka, a szczególnie dowiedzieć się, jakie wrażenie wywarł na nim wygląd sali. Z pewnych względów odpowiedź mogła być niezmiernie interesująca.

Siedzieli w szóstkę przy małym, kiwającym się stoliku — jedynym spośród stołów znajdujących się w sali, który nie został zajęty przez sterty akt i który w lepszych czasach pełnił zdaje się rolę stolika pod maszynę do pisania. Oczywiście zabrakło krzeseł, toteż inspektor Uczuk wygłasza! swe przemówienie siedząc na częściowo uprzątniętym blacie sąsiedniego stołu, a drugi z inspektorów zadowolili się musiał miejscem na stalowej pokrywie kosza na śmieci.

Powierzchnia kąta w rogu pokoju, w którym odbywała się ta zaimprovizowana konferencja, nie przekraczała dwóch metrów kwadratowych. Miejsce to było zresztą jedynym wolnym kawałkiem przestrzeni w całej stosunkowo dużej sali. Resztę zajmowały papiery. Teczki, białe płacht) wydruków, segregatory, wydawnictwa w miękkiej i twardej oprawie czy wreszcie grube tomy akt. o które stale robili awantury pracownicy archiwum i po które wysyłano prawdziwe ekspedycje karne, zajmowały każdy centymetr powierzchni czterech podłużnych stołów, wszystkie wolne półki, szafki, parapety okienne, a także znaczną część podłogi. Wszystkie wysiłki inspektora, aby choć część tego dobra przeznaczyć do własnego użytku i wynieść do siebie na górę, pozostały w praktyce niezauważone.

W tej powodzi papieru oko uważnego obserwatora mogło tylko gdzieś wyłowić pojedyncze wyspy zajmowane przez szereg pomocnych w pracy przedmiotów. Należały do nich cztery aparaty telefoniczne, potężna radiostacja nadawczo - odbiorcza, maszyna do pisania, dwa elektryczne czajniki, stary kartonowy pojemnik mieszczący podstawowe artykuły spożywcze, cztery drewniane skrzynki z zapasem wody mineralnej. Pod ścianami umieszczono także pięć polowych łóżek, których obecny wygląd bynajmniej nie kojarzy! się ze schludnością posłań w wojskowych koszarach. Jeżeli opis ten uzupełnić jeszcze o parę popielniczek zawierających góry niedopałków oraz kilkanaście szklanek z wyschniętymi fusami po kawie i herbacie, otrzymamy obraz, który na osobie nie przygotowanej mógł wywrzeć bardzo silne wrażenie.

Cywil w szarym garniturze należał najwyraźniej do osób o mocnych nerwach. Mimo dosyć natarczywego wpatrywania się w jego twarz inspektor nic mógł dostrzec ani śladu wzruszenia. Ani oczy, ani wyraz twarzy tego człowieka nic zdradzały żadnych myśli i uczuć.

Przeniósł wzrok na siedzącego obok majora Nałęcza. Pomimo ironicznego grymasu wykrzywającego usta major nie sprawiał wrażenia osoby zadowolonej z życia. Sińce pod oczami i zmarszczone czoło zdradzały, że ma jakieś poważne problemy. Wojsko, flota, obrona cywilna — przypominał sobie inspektor — no i jeszcze lotnictwo wszystko do dyspozycji. Gotowe do użycia na jeden rozkaz. I nic! Trzeba czekać. To dopiero sytuacja!

Major dostrzegł od razu, że stał się przedmiotem zainteresowania swojego kolegi. Prawic natychmiast jego twarz rozciągnęła się w szerokim, przyjacielskim uśmiechu. Życzliwe uczucia potwierdziło łobuzerskie mrugnięcie okiem.

Inspektor opuścił głowę. Pomimo że od ponad dwóch miesięcy pracowali razem i wszystko wskazywało na to, że major jest serdecznym przyjacielem, najlepszym kumplem, bratem-lata. inspektor nie mógł ciągle przekonać się do niego. Może sprawiał to bezceremonialny sposób bycia, którego nieodłącznym elementem było klepanie po plecach, może zbyt wielka pewność siebie, może chodziło o coś zupełnie innego. Sam nic nie wiedział, co ma o tym sadzić.

Kapitan Ilczuk zakończył swoje wystąpienie. Niestety, nie zawierało ono żadnych pozytywnych elementów. Pomimo wysiłków kapitana, aby podkreślić wszystkie optymistyczne akcenty i wyraźnie zarysować kierunki dalszego działania, które rokowały największe nadzieje, dla wszystkich zainteresowanych było jasne, że tego rodzaju raport świadczy, iż dochodzenie utkwilo w martwym punkcie.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Potem pułkownik, który jak zwykle objął przewodnictwo, zapytał inspektora Zawadzkiego, czy ma coś do dodania.

Inspektor nie miał nic do dodania.

Zapadła cisza.

Gdy zanosilo się już, że na tym wszystko się zakończy albo że wywiąże się jakaś mniej oficjalna rozmowa, głos zabrał milcząco do tej pory cywil.

Proszę panów — zaczął uprzejmie się uśmiechając — nie jestem, jak panowie wiedzą, fachowcem, ale z tego, co usłyszałem, wynika chyba niedwuznacznie, że do czwartego lutego panowie nie zdążą, prawda?

Inspektor wzruszył ramionami.

— Tak, tak, rozumiem — cywil uniósł ręce w geście oznaczającym chęć zdystansowania się do nic swoich spraw - oczywiście, rozumiem. W tej

pracy nigdy nie na pewno nie wiadomo... Ale jednak... w przybliżeniu... biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw... Oceniając realnie szanse. Można chyba tak stwierdzić, prawda?

— Załóżmy, że tak — wyręczył inspektora pułkownik, który najwyraźniej miał dosyć tej gadaniny.

— No właśnie — jeszcze jeden uśmiech. — Oczywiście, nie muszę panom mówić, co oznacza ta data...

Nie. Tego nie trzeba było nikomu mówić. Dziewięćdziesiąt dni było granicą rozsądku. Jeżeli do tego czasu dochodzenie nie przynosiło żadnych wyników, zazwyczaj sprawę odkładano na półki. Można było oczywiście zawsze do niej wrócić, uruchomić na nowo całą maszynę, ale w danym momencie oznaczało to praktycznie umorzenie śledztwa. Żaden najbogatszy nawet kraj nie mógł pozwolić sobie, aby w nieskończoność angażować ludzi i środki na rozwiązywanie zagadek kryminalnych, które nie dają się rozwiązać. Takie było oficjalne wytłumaczenie.

— Oczywiście, w tym wypadku jest to niemożliwe... Chciałbym panów jak najsolenniejszym o tym zapewnić. Zresztą panowie sami zdają sobie sprawę, że byłoby to olbrzymim błędem politycznym. Liczba ofiar, nastroje społeczeństwa... Nie muszę chyba panom tego tłumaczyć, prawda?



„Do rzeczy — ponaglił w myślach inspektor elokwentnego cywila. — Powiedz wreszcie, o co ci chodzi”.

— Ale tak na początek... Czy panowie zdają sobie sprawę z kosztów dochodzenia prowadzonego na taką skalę? Od dawna, jeśli się nie mylę, obejmuje ono obszar całego kraju...

Sięgnął po teczkę z papierami i wydobył kilka ' kartek.

— Tutaj na miejscu, w komendzie, mamy specjalny zespół: pięciu najlepszych inspektorów, no i pan kapitan Zawadzki... W ośrodkach wojewódzkich - to samo. Nasi najlepsi ludzie. Nic licząc całego aparatu pomocniczego do pracy zaangażowanych jest w sumie ponad trzydzieści osób. Dalej: środki... Proszę panów, na cele związane z tym dochodzeniem idzie codziennie lekko licząc od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Nawet jeśli panowie nie korzystacie ze specjalistycznych laboratoriów i innych takich... — szuka! właściwego słowa — ... szykan, to sam transport, łączność też kosztuje. Może nie powinienem tego mówić... Widzę, że robicie wszystko, co w waszej mocy. Afc... Ale z drugiej strony różnic mówi się o tym dochodzeniu. Podnoszą się narzekania, że blokujecie ludzi i środki... W końcu rocznie dokonywanych jest ponad pół tysiąca zabójstw. Jeżeli nawet tym razem się nic uda. to i tak ogólna wykrywalność spadnie tylko o dziesięć procent. A w dodatku, co najważniejsze, nie ma żadnych wyników!

Inspektor zaczął powoli domyślać się celu tej przemowy.

— No, ale do rzeczy. Jak widzicie, sytuacja jest właściwie bez wyjścia, bo ani przerwać tego. ani prowadzić dalej nie można. Na sukcesy w najbliższym czasie też się nie zanoszą... Co robić?

Cywil zamilkł, a potem powtórzył pytanie:

— Co robić? Macie jakieś rozwiązanie?

Inspektor z zainteresowaniem obserwował reakcje kolegów. Major bawił się długopisem i patrzył niewidzącym wzrokiem gdzieś daleko w przestrzeń, inspektor Ilczuk obserwował widok za oknem, jego kolega bez przerwy poprawiał się na koszu od śmieci. Nikt nie usiłował pomóc cywilowi w znalezieniu rozwiązania. Nikt też zapewne ani przez chwilę nie uwierzył, żeby prośba o pomoc była czymś więcej niż pustym zwrotem retorycznym. Nawet pułkownik nie wziął jej sobie do serca.

— Chciałbym być z wami absolutnie szczerzy. Należy wam się to. Były nawet propozycje... — machnął ręką — ...no, ale mniejsza z tym. Uznałem, że należy przede wszystkim porozmawiać z wami. Zaręczyłem, że można na was liczyć, że zrozumiecie naszą sytuację. Jestem pewien, że ją zrozumiecie!

„Do rzeczy”.

— No więc, przechodząc do rzeczy... — cywil zaczerpnął głęboko powietrza. Potrzebuję wyników. Konkretnie mówiąc potrzebuję podejrzanego. Albo podejrzanych. Jest to w tej chwili praktycznie jedyna szansa, aby kontynuować dochodzenie na taką skalę. Czy zrozumieliście mnie?

Zapadła grobowa cisza. Można było usłyszeć szelest kartek papieru poruszanych delikatnymi podmuchami wiatru wpadającego przez uchylone okno.

— Chciałbym, żebyśmy dobrze się zrozumieli. Nie chcę stawiać pod mur niewinnych ludzi. To absurd! Potrzebuję podejrzanych. Tylko podejrzanych. Nic będzie żadnych nazwisk w prasie, żadnych reportaży w telewizji. Zupełna cisza przez miesiąc albo dwa. Trochę dłużej albo trochę krócej. Ile będzie trzeba.

W dalszym ciągu nikt nie odzywał się ani słowem.

— Powtarzam: najważniejsze, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

Cywil już się nie uśmiechał. Wyglądało na to, że reakcja zebranych niezbyt przypadła mu do gustu.

— Chodzi nam tylko o to, aby w gazetach mogła pojawić się krótka wzmianka: w sprawie takiej to a takiej zatrzymano grupę podejrzanych albo jeszcze lepiej podejrzanego. Jest nim dajmy na to Jan K.. długoletni pacjent szpitali psychiatrycznych. Zatrzymany został przekazany do dyspozycji prokuratora, śledztwo trwa... albo coś w tym rodzaju. Oczywiście — fflówł dalej — śledztwo wykaże niewinność podejrzanego. Wtedy przeprosi się go i wypuści. Ale my, panowie — zaakcentował my zyskamy kilka tygodni czy kilka miesięcy czasu. Czasu, który jest dla nas bezcenny. Czy panowie mnie zrozumieli!'

Znowu cisza.

— Tytułem wyjaśnienia... Panowie, ja naprawdę nie musiałem wtajemniczać panów w to wszystko. Jeżeli jeszcze w dodatku przekazuję wam to w takiej właśnie formie cywil uśmiechnął się ironicznie — to uwierzcie, że jest to tylko sprawa dobrej woli... Jeszcze jedno. Proszę panów, każde dochodzenie to co najmniej kilku podejrzanych. W tym wypadku chyba jest również tak samo? Pan kapitan Zawadzki nie wystąpił jeszcze do prokuratora z żadnym wnioskiem o nakaz aresztowania. Rozumiem! Chwalebna ostrożność, odpowiedzialność... Gdyby jednak na miejscu kapitana był inny pracownik... Mniej powściągliwy, mniej przezorny... Jak panowie myślą? Co byłoby wtedy? Zresztą kto wie? — rozłożył ręce. — Może wyniki śledztwa byłyby w ogóle inne? Kto wie — może lepsze... No, niech pan sam powie, panie kapitanie zwrócił się do inspektora Zawadzkiego. — Czy nie mam racji?

Inspektor nic nie odpowiedział.

— Panie kapitanie — cywil uśmiechnął się znowu - przejdźmy do konkretów. Kilka dni temu do naszych władz, wpłynęło doniesienie. Doniesienie, które wydaje się dosyć wiarygodne i dotyczy człowieka nazwiskiem... — cywil spojrzał na kartkę, która leżała na biurku — ... nazwiskiem Deczel. Jerzy Deczel. Sprawdźcie tego człowieka. Kto wie, może to właśnie on wystąpi w roli naszego podejrzanego?

## Rozdział 9

---

Przypadek Jerzego Deczela okazał się niezwykle skomplikowany. Po kilku godzinach poszukiwań udało się ustalić jedynie datę i miejsce jego urodzenia oraz odtworzyć przebieg jego lotów do momentu zakończenia służby wojskowej. Potem następowała długa przerwa, trwająca aż do października ubiegłego roku, kiedy podjął on pracę w bibliotece publicznej dzielnicy Praga- Południe. Informacje świadczyły, iż jedyny syn Eugeniusza i Marii Deczel był dobrym, ale nie wyróżniającym się uczniem, niezłym kolegą i zdyscyplinowanym podwładnym. Wzmianka o przeniesieniu do rezerwy, nazwa uzyskanej specjalności, stopień wojskowy — dane te zamykały pierwszy okres życia Jerzego Deczela. Poza późniejszą o ładnych kilka lat wiadomością o podjęciu pracy w bibliotece nie było już żadnych informacji.

Oto prawdziwa zagadka. Najdziwniejszy był bez wątpienia fakt, iż młody, zdrowy człowiek z uzyskaną w wojsku specjalnością mechanika ciężkiego sprzętu podjął pracę na pół etatu przy wypożyczaniu książek. Cokolwiek zaszło między tymi wydarzeniami, oznaczać musiało w życiu Jerzego Deczela zasadniczy zwrot.

Jeden telefon pozwolił niezbitcie ustalić, iż nie wiązało się to z pobytem w zakładzie karnym ani wyjazdem za granicę, zgromadzone do tej pory dane wskazywały również wyraźnie, iż w tym okresie nie korzystał z porad lekarza psychiatry ani nie przebywał w zakładzie zamkniętym. Nic mógł też mieć nic wspólnego z pracą w przemyśle chemicznym ani tym bardziej mieć do czynienia z produkcją i posługiwaniem się środkami trującymi. Z tych samych względów można było wykluczyć wszelkie formalne związki z naukami medycznymi biologią i biochemią. Do tego można było dodać informację, że Jerzy Deczel na pewno nie podejmował nigdy pracy w charakterze roznosiciela mleka ani w Warszawie, ani gdziekolwiek indziej.

Na tym właściwie kończyła się wiedza o losach osoby, która tak bardzo interesowała inspektora i jego mocodawców. Dwaj ludzie wysłani po informacje „na miasto” po kilku godzinach wrócili z pustymi rękami. Nie udało im się uzyskać absolutnie żadnych danych dotyczących okresu po zakończeniu służby wojskowej. Wyglądało, jakby Jerzy Deczel w tym czasie po prostu zapadł się pod ziemię. Albo jakby dane zostały specjalnie usunięte — jak wyraził się jeden z inspektorów.

Zagadkę można było co prawda rozwiązać w kilkanaście minut udając się wprost do osoby najbardziej zainteresowanej inspektor był jednak jak najdalszy od wyrażenia zgody na takie posunięcie.

Dochodziła szósta. Zirytowany przedłużającymi się poszukiwaniami i nieudolnością swoich podwładnych inspektor Zawadzki postanowił wreszcie odłożyć dalsze działania na dzień następny. Po nieprzespanej nocy był u kresu sił. Stale męczył go ból głowy i gardła, podrażnionego dymem kilkudziesięciu papierosów. Tego dnia stanowczo nie nadawał się do pełnienia obowiązków służbowych. Zdobycie żądanych informacji nie było znowu sprawą aż tak pilną. Wprost przeciwnie dodał w duchu — nie należało za bardzo się z tym spieszyć.

Sprawa tego doniesienia od początku niezbyt mu się podobała, a wystąpienie aroganckiego cywila sprawiło, że nabrał dodatkowych wątpliwości. Spowodowało to, że stracił ostatecznie chęć do dalszego prowadzenia sprawy. Docenia! oczywiście i rozsądek, i dobre intencje. Lepiej niż inni rozumiał, że dochodzenie nic toczy się w próżni, a w konkretnej sytuacji społecznej i jak każde zespołowe przedsięwzięcie podlega różnorodnym naciskom. Nic miał także nic przeciwko formie, w jakiej zwrócono się do nich: można było mieć różne zastrzeżenia, ale w końcu wszystko było dalekie od konspiracyjnej zmywy czy brutalnego wydawania rozkazów. Aprobował również bez zastrzeżeń zasadę, że najważniejsze jest dobro śledztwa.

Wszystko było więc w porządku. Pomimo to już od kilku godzin rozważał na serio możliwość rezygnacji z pracy. Dokładnie mówiąc zastanawiał się nad tym już od momentu zakończenia zebrania. Do tej pory nie udało mu się jednak podjąć żadnych decyzji. Był to dodatkowy argument świadczący, że wyczerpał ostatecznie zapas sił duchowych i fizycznych, i że najlepszym wyjściem w tej sytuacji będzie powrót do domu.

Zawiadomił przez telefon żonę, aby czekała z kolacją, narzucił na ramiona płaszcz i wyszedł na korytarz. Odwrócił głowę.

Szare od dymu powietrze, przygnębiający obraz pobojuwiska usianego teczkami, papierami i pustymi szklankami po herbacie... Istotę tej koszmarnej sprawy symbolizował najlepiej ten nieogarniony chaos, który miał przed oczami.

Z ulgą zgasił światło, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

# Rozdział 10

---

Gdy następnego dnia pojawił się rano w pracy, czekała już na niego przypięta do drzwi kartka z prośbą o jak najszybszy kontakt z kierownikiem archiwum. „Oto skutki normalnego podejścia do pracy” — pomyślał. Wystarczyło chociaż raz spokojnie wyjść i wszystko samo się załatwiło.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Niestety, w pokoju panował ciągle ten sam bałagan. Nie pasował on w najmniejszym stopniu ani do gładko wygolonej twarzy, ani do delikatnego zapachu zagranicznego dezodorantu.

Uważając, aby nic pobrudzić się popiołem z papierosów i resztkami zaschniętych fusów, które pozostały na biurku po wczorajszej katastrofie, ostrożnie usiadł na krześle i podniósł słuchawkę.

Wystarczyło kilka zdań, które wymienił z kierownikiem archiwum, aby dobry nastrój ulotnił się bez śladu, a w duszy pojawił się stary przyjaciel - strach. „To już przekracza wszelkie granice — pomyślał. - Czy naprawdę nie można było znaleźć kogoś innego?”

W tych okolicznościach czekało go sporo pracy. Wykręcił jeden numer, potem drugi. Zamówił połączenie u sekretarki generała. Wreszcie odbył dla pewności krótką rozmowę i pułkownikiem, który zajmował się rozwiązywaniem trudności tego typu.

Czekał przez kilka minut. Nie zdążył nawet dokończyć świeżego papierosa, a już odezwał się telefon. Numer pierwszy: zgoda. Numer drugi; zgoda. Numer trzeci: nie ma zastrzeżeń. Jakżeby inaczej!

Po dwudziestu minutach pracownik archiwum wniósł do jego pokoju dwie grube kartonowe teczki. W tym wypadku nic było żartów — aby móc zapoznać się z ich zawartością, musiał złożyć cztery podpisy na specjalnych formularzach. Zobowiązał się" do zachowania absolutnej dyskrecji i ponoszenia wszelkich konsekwencji ujawnienia danych. Zobowiązał się również korzystać z dokumentów tylko w obecności pracownika archiwum.

Teczka numer jeden. Nazwisko: Deczel. Imię: Jerzy. Data wstąpienia do służby w milicji, przebyte szkolenia, przydziały służbowe, opinie przełożonych. Wszystkie informacje potwierdzały wcześniejsze ustalenia. Jerzy Deczel nie wyróżniał się zdolnościami, był jednak człowiekiem solidnym, pracowitym i zdyscyplinowanym. Jego kariera nie należała do najbardziej błyskotliwych, krok za krokiem wspinał się jednak po kolejnych szczeblach hierarchii służbowej. Wreszcie dostał pierwszy samodzielny przydział. Objął kierownictwo komendy w gminie Zakole w województwie tarnobrzeskim. I wtedy zdarzyło się coś niepojętego: dwie nagany w ciągu roku! Jedna za przekroczenie obowiązków służbowych, druga za ich niedopełnienie. Oskarżenie o łapownictwo. Werdykt komisji dyscyplinarnej oddalający oskarżenie. Pomimo to decyzja o natychmiastowym zwolnieniu ze służby. Wszystko to no prostu nic mieściło się w' głowie. Każdy dokument stwierdza! właściwie co innego i nie sposób było doszukać się sensu w tym galimatiasie.

Wyjaśnienie musiało kryć się z pewnością w dokumentach, stanowiących zawartość drugiej teczki. Inspektor niecierpliwie otworzył kartonowe okładki i zajął na koniec do ostatnich dokumentów.

Ledwo jednak rzucił na nie okiem, poczuł, że robi mu się gorąco. Podniósł wzrok i popatrzył na młodego człowieka. Był pochłonięty lekturą gazety i jeżeli nawet od czasu do czasu odrywał wzrok od zadrukowanych stron, to nie po to, aby patrzeć na inspektora.

Pochylił głowę. Przed sobą miał kilkustronicową, szczegółową, opinię psychologa. Przebiegł wzrokiem zadrukowane gęsto strony. „Charakteropatia”, „mania samobójcza”, jakieś łacińskie nazwy... Na końcu — jedno zdanie rozstrzelonym drukiem: konieczna konsultacja psychiatry.

Rzeczywiście, niezwykle zbieg okoliczności.

## Rozdział 11

---

Inspektor potrzebował aż dwudziestu minut, aby skłonić właścicielkę mieszkania wynajmowanego przez Jerzego Deczela do wydania kluczy. Ale w końcu udało się. Uzyskał zgodę na przeprowadzenie lustracji lokalu, w którym oficjalnie nie mieszkał nikt poza właścicielką.

Następne dwadzieścia minut zabrała podróż na drugi koniec miasta. Inspektor odbył ją w towarzystwie sierżanta z wydziału gospodarczego. Stażysta Kamiński nic wyróżniał się jak dotąd szczególnymi zdolnościami — był jednak człowiekiem dyskretnym i — co ważniejsze — nic nie łączyło go z zespołem operacyjnym, powołanym do rozwikłania zagadki masowego morderstwa.

Mieszkanie, które zajmował Jerzy Deczel, składało się z jednego pokoju oraz kuchni. Spośród wielu źle urządzonych mieszkań, które inspektor widział w swoim życiu, to było z pewnością urządzone najgorzej. Całe umeblowanie składało się z półek na książki, telewizora, starego biurka oraz łóżka połowego przykrytego wystrzępioną narzutą. Funkcje szafy, lodówki, szafek kuchennych pełniły lekturowe kartony przybite do ścian. Kretonowe firanki ozdobione modnymi przed laty „pikasami” oraz dwie brudne żarówki osłonięte kartonowymi abażurami własnej roboty dopełniały obrazu całości.

Wszystko świadczyło, że Jerzy Deczel nie zdołał jak na razie zaaklimatyzować się w stolicy. Każdy sprzęt, każdy szczegół wyposażenia nosił piętno tymczasowości. Całość sprawiała wrażenie obozowiska, rozbitego zamiast na polu namiotowym w wygodnej kawalerce.

Inspektor skinieniem głowy wskazał sierżantowi półki z książkami, a sam podszedł do biurka stojącego przy przeciwległej ścianie.

Piętrzyły się tutaj sterty najrozmaitszych papierów. Wycięte z gazety programy telewizyjne mieszały się z kwitami z pralni, świątecznymi kartkami pocztowymi oraz kartkami zawierającymi różne nazwiska wraz z numerami telefonów. Na samym środku leżał egzemplarz tygodnika „W służbie narodu” wymownie świadczący, że łatwiej zmienić pracę niż zainteresowania. Pod tygodnikiem leżał pochodzący sprzed kilku dni egzemplarz „Życia Warszawy” a pod nim z kolei biurowy kalendarz, którego stronicie wypełnione były wieloma zapiskami.

Machinalnie przerzucił kilka kartek. Żadnych sensacji. Krótkie wykazy spraw do załatwienia, jakieś nazwiska, numery telefonów, adresy. Na dłużej zatrzymał się dopiero przy kartce oznaczonej datą 18 lutego. Zannotowano na niej imię i nazwisko lekarza, godziny przyjęć oraz adres przychodni. *Doktor Zygmunt Miller* — przeczytał. — *Poradnia Zdrowia Psychicznego, ulica Gruzińska 3.*

Kilka stron dalej nazwisko doktora powtórzyło się znowu. Obok zapisano godzinę wizyty.

Wszystko zdawało się wskazywać, że Jerzy Deczel rozpoczął systematyczną kurację.

Inspektor westchnął głęboko. To, co przed chwilą przeczytał, świadczyło niezbicie, że kilka milionów złotych wydanych dotychczas na prowadzenie dochodzenia zostało wyrzucone w błoto. Niepotrzebnie tylko marnowano czas. Jeżeli mogły zdarzać się takie przeoczenia, to cała akcja właściwie nie miała sensu.

Nazwisko Miller było bowiem doskonale znane inspektorowi. Doktor Miller zajmował lokal numer 6? i był jedną z ofiar zatrucia. Wszyscy — jak go zapewniano — absolutnie wszyscy jego pacjenci byli dokładnie sprawdzeni. Teraz właśnie miał możliwość przekonać się, ile warte są takie zapewnienia.

Odłożył na bok kalendarz i zajął się bliżej zawartością szuflady biurka. Spośród wielu rupieci zainteresowała go szczególnie niewielka metalowa kasetka. Była zamknięta na klucz jej waga oraz charakterystyczne odgłosy przy poruszaniu świadczyły, że w środku znajduje się ciężki metalowy przedmiot.

Inspektor jeszcze raz przeszukał dokładnie obie szuflady. Wśród kilku kluczy, które poniewierały się na dnie, przynajmniej dwu zdawały się pasować do miniaturowego zamka. Okazało się jednak, że pasował tylko jeden. Zamek otworzył się gładko zwalniając dwa stalowe rygle trzymające pokrywę. Na widok zawartości kasety inspektor gwizdnął cicho.

Sierżant Kamiński odłożył swoje książki i zbliżył się do biurka.

Na dnie kasety leżał duży, czarno oksydowany pistolet. Charakterystyczny kształt już na pierwszy rzut oka pozwalał rozpoznać niemieckie parabellum. Za pomocą ołówka zahaczonego o kabłąk spustowy inspektor wyjął broń z kasety. Waga pistoletu świadczyła, że magazynek jest pełny albo prawie pełny. Gruba warstwa kurzu, ślady starego smaru w otworze lufy pozwalały przypuszczać, że nie używano go od dłuższego czasu.

— Ładna sztuka - sierżant cmoknął z uznaniem.

— Parabellum - mruknął w odpowiedzi inspektor, jakby to mogło wystarczyć za wszystkie komentarze.

Odnalazł numer fabryczny i zanotował go w swoim notesie. W aktach nic było żadnej wzmianki, aby Jerzy Deczel posiadał pozwolenie na broń. Można było zresztą wątpić, czy otrzymałby zgodę na posługiwanie się 9-milimetrowym pistoletem, który raczej trudno było uznać za broń sportową. Wszystko należało dokładnie sprawdzić.

Włożył z powrotem broń do kasety i umieścił wszystko na swoim miejscu. Przejrzał jeszcze raz zapiski w kalendarzu, zrobił kilka notatek, a potem razem z sierżantem zajęli się zawartością stojących w pokoju i w kuchni kartonów.

Minęła godzina, dwie i pomimo starannych metodycznych poszukiwań nie udało im się znaleźć nic ciekawego. Stare ubrania, komplety zużytych naczyń turystycznych, aluminiowe sztucce, bielizna osobista i pościelowa, jakieś drobiazgi — jednym słowem nic godnego uwagi. Inspektor spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta. Był już najwyższy czas, aby zakończyć tę nieformalną rewizję. Właściciel mieszkania mógł za-

raz wrócić i inspektor poważnie obawiał się, że w wypadku spotkania nie będą mogli liczyć ani na jego poczucie humoru, ani sentyment do dawnych kolegów z pracy.

Przed wyjściem sprawdzili dokładnie, czy wszystko znajduje się na swoich miejscach. Na oko nie można było dostrzec żadnych różnic — mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak przed ich wizytą.

Upewniwszy się, że korytarz jest pusty, wyszli na zewnątrz.

Inspektor zamknął drzwi i sprawdził dokładnie oba zamki. Na błyszczącym metalu nie pozostała ani jedna rysa, ani jedno zadrapanie, które mogłoby stanowić powód do podejrzeń. Inspektor westchnął z ulgą. Ostatecznie mieli do czynienia z byłym milicjantem.

## Rozdział 12

---

Osiemdziesiąty dzień dochodzenia rozpoczął się fatalnie. Kolejna narada z udziałem kilku osobistości z resortu miała służyć wyjaśnieniu szeregu wątpliwości natury technicznej i przedyskutowaniu metod współdziałania, tymczasem już po kilku minutach okazało się, że rozmowy prawdopodobnie zakończą się fiaskiem. Wiele istotnych żądań pozostało bez odpowiedzi, kilkakrotnie natomiast wyrażono ostrożny (ale uzgodniony) sceptycyzm co do możliwości powodzenia całego śledztwa, które dotąd nie przyniosło żadnych rezultatów. Zapowiedź poważnych oszczędności i zmian personalnych wisiała w powietrzu. Można to było z łatwością odczytać z twarzy i treści wystąpień gości.

Inspektor, jak dotychczas, nic odezwał się ani słowem. Przede wszystkim uznał, że jego wypowiedzi nic przysłużą się dobru śledztwa, po drugie miał absolutnie dosyć jałowych dyskusji, a po trzecie: chciał dokończyć w spokoju raport dotyczący losów parabellum nr 14786.

Poza ostatnią wzmianką była to niezbyt interesująca lektura. Broń wchodziła w skład wyposażenia jednego z oddziałów partyzanckich i po wojnie znalazła się w Muzeum Wojska Polskiego. Stamtąd została skradziona. Ostatnia wiadomość pochodziła z początku lat siedemdziesiątych: jeden z mieszkańców gminy Zakole twierdził, że pistolet o tym numerze fabrycznym widział u swojego syna. Dowód stanowił protokół przesłuchania przeprowadzonego w siedzibie miejscowego posterunku MO.

— Panie inspektorze!

Wstrząsnął się jak człowiek wyrwany z głębokiego snu.

— Panie inspektorze! — kapitan Ilczuk, gdy mu na tym zależało, potrafił mówić bardzo donośnym i ostrym głosem. — Panie inspektorze — powtórzył po raz trzeci — proszę posłuchać... Zdecydowaliśmy, że należy wreszcie ustalić pewne sprawy...

„To będzie szef - pomyślał inspektor. — Co za głos, co za wyraz twarzy! Urodzony przywódca!”

— Panie inspektorze, to naprawdę do niczego nie prowadzi. Ośmieszamy się tylko. Marnujemy czas i pieniądze. Wyników nie ma żadnych i chyba nie będzie...

„Szalenciec szuka szaleńca” — dobiegła uszu inspektora uwaga wypowiedziana zbyt głośno. A może tylko się przesłyszał.

— I jeszcze jedno...

Tym razem to był major Nałęcz.

— Czy moglibyśmy dowiedzieć się wreszcie czegoś o wynikach tego dochodzenia? Wiemy wszyscy, że jesteś najlepszy w tym fachu — major uśmiechnął się ironicznie — ale pozwól nam przynajmniej pokibicować. No więc, czy moglibyśmy prosić o najnowsze dane?

— Nie ma żadnych nowych danych.

— W porządku — major sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. — To właśnie chcieliśmy usłyszeć. Teraz będziemy wiedzieć, czego należy się trzymać. I jeszcze jedna sprawa... Ten Deczel... dobrze mówię, prawda? Sprawdziłeś go, oczywiście?

Udało mu się roześmiać. Było to niezbyt przekonujące, ale i tak lepsze niż nic.

— Sprawdziłem.

— No i?...

— Nie nadaje się. To chciałeś usłyszeć? Nie nadaje się!

— Czy dlatego, że pracował u nas?

— No, no, co za szybkość działania!

— No, bo wiesz... Praca u nas, nikogo nie chroni przed odpowiedzialnością. Nikogo. Chyba nie należysz do tych, którzy sądzą, że jest inaczej? — major roześmiał się. — Zresztą on tutaj już nie pracuje. No, to chyba wszystko, prawda?

## Rozdział 13

---

— Wiedziałem, że kiedyś zajmiecie się tą sprawą — zaczął nieskładnie gruby, niski mężczyzna w mundurze sierżanta MO. — Tak sobie myślałem, że nie... że tego nie można tak zostawić. Myślałem tylko: kiedy? Kiedy zjawi się ktoś taki jak pan? Ktoś z góry.

Od prawie pół godziny inspektor był gościem zastępcy komendanta posterunku MO w gminie Zakole. Siedzieli przy okrągłym masywnym stole, zajmującym niemal pół pokoju. Krysztály w kredensie, wielki



obraz przedstawiający dwa jelenie na rykowisku oraz starannie wyretuszowana, podbarwiona ślubna fotografia wisząca na ścianie świadczyły, że znaleźli się w centralnym punkcie domu.

— A tu czas leciał — ciągnął dalej sierżant nie swoim głosem — jeden rok przeszedł, drugi i nic. Cisza. Jakby to nikogo nie obchodziło. Tak sobie myślę... Coś tu nie gra. Myślę sobie, że to dziwne jest... No, ale nic. Przyjechał pan. Komenda główna to nie byle co. Napijmy się.

Sięgnął po butelkę z radzieckim winiakiem i usunąwszy plastikowy kapsel napełnił duże puchary z rżniętego kryształu. Wypili. Niemal od razu nalał następną porcję.

— Pan nie wie, jak to jest... Małe miasteczko, tak naprawdę to nawet nie miasteczko, a zwykła gmina, bo w czterdziestym piątym odebrali nam prawa miejskie. Siedzi się tutaj, świata bożego nic widać, wszystko się toczy swoim biegiem, a to... A to cały czas czeka. Każdego dnia, jakby się zmienia, pokazuje w- innym świetle. Ale jest. ciągle jest.

Inspektor ziewnął ukradkiem. Po ośmiu godzinach podróży był naprawdę zmęczony.

— Więc to bardzo dobrze, panie kapitanie — kontynuował już nieco śmieiej sierżant — że przychodzi wreszcie taki dzień, że przyjeżdża ktoś taki jak pan. Ze sprawa zaczyna żyć. Ze nic zostawia się jej własnemu losowi. Bo nie można. Niech pan mi wierzy, nic można!

Inspektor zaczął niecierpliwie bębnić palcami. Do rzeczy!

- Ja wiem, panie kapitanie, że za godzinę ma pan autobus powrotny — powiedział sierżant spokojnym, niskim głosem. — I że jak pan do niego nic zdąży, to przypadnie panu połączenie na ekspres warszawski i w domu będzie pan dopiero nad ranem. Ja to wiem. I zapewniam pana, że pan zdąży.

Sięgnął po kieliszek i jednym łykiem wypił całą za wartość.

— No, więc tak... Cała ta historia zaczęła się od razu po jego przyjeździe... Tak, prawie od razu. Ostry był. Trochę za bardzo jak na ten rejon i na tych ludzi. Tu trzeba ciszej, spokojniej, z namysłem — akcentował każde słowo gestami rąk. — Tutaj u nas ludzie żyją inaczej i myślą inaczej. Nie żeby byli jacyś inni, o nic! Po prostu na takim zadupiu wszystko wygląda trochę inaczej niż w dużym mieście. Aon pokręcił głową — był ostry, szybki i cholernie zasadniczy. To nie wszystkim się podobało. Mimo to pewnie wszystko dobrze by się skończyło — rok, dwa, trzy i straciłby trochę tego miejskiego fasonu... Ale niestety, stało się inaczej — rozłożył ręce. — A stało się tak dlatego, że stary Majewski miał dwóch synów. Jeden z nich akurat wyszedł i na spółkę z braciszkiem postanowił objąć rządy w tym miasteczku. Oczywiście przy pomocy innych smarkaczy...

Inspektor wypił łyk herbaty. Gdyby nie grube szklanki ozdobione różowymi kwiatkami i masywne stalowe uchwyty mające chronić przed poparzeniem rąk, picie bladożółtego, słodkiego wywaru mogłoby być nawet przyjemne.

— Starali się, nie powiem. Trwało to chyba z pół roku. Przez ten czas byli u nas chyba ze sześć razy. I nic. Nie było się do czego przyczepić. Jak pan się domyśla, komendant nie był tym zachwycony. No. więc kiedy jakichś dwóch typów obrobiło kościół, to wtedy było wiadomo, że naprawdę się zacznie. Bo wszyscy wiedzieli, że to oni zrobili — to znaczy „Bekalosz” na spółkę z braciszkiem. Wszyscy też wiedzieli, że to było zrobione specjalnie; tylko po to, aby pokazać komendantowi, kto tu rządzi. No, a komendant też tylko czekał na taką okazję... Sierżant pociągnął spory łyk alkoholu.

— Od razu po tym włamaniu chcieliśmy ich zatrzymać. Niestety, udało nam się dopaść tylko młodszego, bo Bekalosz gdzieś nawiał. No i zaczęło się... Obróbka trwała całe dwie doby bez przerwy. Jak na filmie amerykańskim. Było nas trzech. Dwóch spało, jeden pracował. Prosta arytmetyka — gość musiał zmięknąć. Musiał wysiąść z braku sił i snu. No i wysiadł. Na dobre. Pozwoli pan jeszcze? — nalał nową porcję. — Nie

będę panu mówił, co się tutaj działo. Ten mały — to było oczko w głowie starego Majewskiego. Na starszego syna już machnął ręką, ale młodszy... Z nim była zupełnie inna sprawa. Stary upatrzył mu już żonę, upatrzył interes, lada chwila miał go ustawić na własnych nogach i nagle takie coś...

Wypili.

— Jeszcze zanim się to stało, stary Majewski przychodził kilka razy do komendanta i prosił, żeby dać spokój. Że on pokryje szkody, zapłaci... Powiedział, że za te pieniądze, co ma. może nowy kościół zbudować. A komendant nic. Wreszcie stary na serio się przestraszył. Bał się jak cholera, że coś może się stać. może przeczuwał coś... Dość, że pewnego dnia przyniósł do pokazania komendantowi pistolet, który odkrył w skrytce w swoim domu. W skrytce, którą zrobił len starszy, Bekalosz. Kalkulował sobie widocznie, że komendant zmięknie, jak zobaczy taką chęć współpracy, że wszystko skrupi się wtedy na tym starszym. A tu nic. Przesłuchania trwały. Aż wreszcie doszło do tego, co pan już wie...

Sierżant opuścił głowę i zaczął bawić się pustym kieliszkiem.

Co dalej? Ano dalej to było gorąco. Majewski miał spore znajomości. Uruchomił wszystkie naciski. Dopiąłby swego, jestem pewien. Ale: chciał zrobić wszystko szybko, od razu. za jednym zamachem. To nie przechodzi w takim miasteczku. Kiedy więc minął tydzień, dwa tygodnie i nic się nie zmieniło i komendant był na swoim stanowisku, pokazywał się na mieście, i wszędzie, gdzie było można, starał się odkręcić całą sprawę, wtedy nic wytrzymał i któregoś dnia u siebie, w warsztacie, powiesił się. Mówił pan coś? A. przepraszam... Trzy tygodnie po synu miał pogrzeb. Były nawet kłopoty z księdzem. Rozumie pan, samobójstwo. Ko, ale w końcu udało się to jakoś załatwić. Pozwoli pan jeszcze po kieliszku, dobrze? Więc pochowali go. I zaczęło się. Ludzie zaczęli gadać. Pan sobie nawet nie zdaje sprawy, jak to jest. kiedy w takim małym miasteczku ma się wszystkich przeciwko sobie. Wtedy z tym synem ludzie jakoś zrozumieli... Wiadomo — nie był anioł. Poza tym na posterunku było nas kilku, więc jakoś to na wszystkich się rozłożyło. A teraz — co innego! I jeszcze w dodatku samobójstwo. A Majewski człowiek religijny był i co niedziela do kościoła chodził! Zaczęło się. Użyli wszystkich możliwych środków. Donosy, anonimy i takie tam... Komendant jakoś się trzymał. Staraliśmy się mu pomagać, ale wie pan... A na przeniesienie nie chciał się zgodzić! Za nic. Powiedział, że zostanie tutaj Pomimo wszystko. Pod koniec, panie kapitanie, to było całkiem źle. Komendant jakby ... — zastanawiał się długą chwilę — ...jakby zaczął nienawidzić ludzi. Wszystkich ludzi. Inaczej tego nic umiem nazwać. Pod koniec, panie kapitanie, to zrobiło się tak, że strach było mu się pokazać na oczy. strach przebywać razem w jednym pokoju. Ale na przeniesienie nie chciał się zgodzić. Co to. to nie. Sierżant umilkł.

— A jeszcze później, zwłaszcza jak w gazetach ukazał się komunikat, że w sąsiednim województwie aresztowali bandę, która rabowała kościoły i której członkowie przyznali się do obrobienia naszego kościoła, no. to wtedy zaczęła się tragedia. Sam bym tego nic wytrzymał Widziałem przecież, co działo się z tym człowiekiem... Wie pan. pod koniec to on ważył chyba z pięćdziesiąt kilo. Dorosły, silny mężczyzna. Tak to bywa — z namysłem pokiwał głową. Tak z ręką na sercu, panie kapitanie, to myślę, że ci z Krakowa trochę się pospieszyli... Ja wiem. wykrywalność przestępstw, statystyki, wyższe racje — wszystko dobrze. Tylko że tak po prostu się nie robi. Tak nie można robić!

— To znaczy, że co? Uważacie... inspektor zrobił nieokreślony gest ręką

— Jestem pewien, panie kapitanie. Daję słowo, że kościół w naszej gminie zrobił Bekalosz do spółki z bratem. Po co wyjeżdżałby tak nagle gdyby nie miał z tym nic wspólnego, no, niech pan powie?

— Może się bał.

— Bzdura — sierżant machnął ręką. — Mówię panu. nie mamy żadnych dowodów, ale gdyby wrócić jeszcze raz do tej sprawy...

— A ten Majewski? Co się z nim teraz dzieje?

— Bekalosz? Podobno jest na Wybrzeżu. W Szczecinie. Działa, ma kumpli. Przemysł i takie różne... Tak słyszałem. Będzie go pan szukał?

— Pewnie tak.

— A komendant? Zobaczy go pan? Inspektor nic nie odpowiedział.

— To porządny gość. Może sam pan się przekona. Taki byi w każdym razie, zanim się to wydarzyło. Dopiero później się zmienił. Ale na początku prawie wszyscy to porządni ludzie, prawda, panie kapitanie?

## Rozdział 14

---

Była sobota, godzina dziewiąta trzydzieści rano, osiemdziesiąty drugi dzień dochodzenia.

Inspektor sam nie wiedział, jak doszło do tego. że zamiast w swoim gabinecie znalazł się pod drzwiami mieszkania Jerzego Deczela — byłego komendanta posterunku MO w- Zakolu. Miał tu przyjechać dopiero po południu. Kolejna nieprzespana, spędzona na rozmyślaniach noc. nerwy, brak cierpliwości - przyczyn mogło być bardzo wiele. Gdy jednak znalazł się na miejscu i rzucił okiem na pomalowane szarą farbą drzwi, pomyślał, że i tym razem nie zawiódł go zawodowy instynkt.

Na obu zamkach wprost roilo się od rys i zadrapań. Wyraźne ślady manipulacji metalowymi przedmiotami były widoczne zarówno na mosiężnej płytce z napisem „Yeti”, jak i na metalowych obrzeżach otworu zasuw. Wszystko wyglądało na typowe ślady włamania i to włamania nieudolnego, amatorskiego. Ślady na obu zamkach świadczyły o tak niezdarnej partaninie. że wręcz nasuwały podejrzenie celowego wprowadzenia w błąd.

Ponowne otwarcie drzwi zajęło inspektorowi nie więcej niż trzy minuty. Mechanizmy obu zamków funkcjonowały idealnie — najwidoczniej więc nieznany włamywacz ograniczył swoje próby do ich zewnętrznych części.

Inspektor wszedł do środka.

Tym razem musiał bardzo się śpieszyć. Mężczyzna, który dziesięć minut temu wyszedł z budynku niosąc dużą torbę, miał zapewne najlepszą wolę dokonania zakupów, zawsze jednak mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego.

Pobieżnie obejrzał duży pokój. Wszystko w porządku: książki równo ustawione na półkach, idealnie uprzątnięte biurko, meble na swoich miejscach. Coś było jednak nie tak... Gdy był tutaj poprzednio, książki

stały zupełnie inaczej. Brakowało poza tym na regale dużego glinianego wazonu, a grzbiet grubego podręcznika psychologii nosił wyraźne ślady rozdarcia.

Opuścił wzrok. Misterna konstrukcja z kartonów została kompletnie zniszczona. Teraz ze ścian wystawały tylko nagie haki, a wszystkie pudła srały jedno na drugim.

No tak. wszystko było jasne. Zanim właściciel doprowadził wszystko do porządku. w: mieszkaniu musiał panować niezły bałagan. Podszedł do biurka. Stos wymiętych i pomieszanych kartek z kalendarza znalazł dopiero w jednej z szuflad. I jeszcze jedno... Otworzył szafkę z boku biurka. Pierwsza półka. Sięgnął głęboko ręką i wydobył metalową kasetę. Była pusta. Wygięta pokrywa i połamane bolce świadczyły, że ktoś nie miał czasu na szukanie kluczy.

Odłożył ją na miejsce i zamknął szafkę. Spojrzał na zegarek. Siedem minut. Zupełnie wystarczy! Po bieżnie zlustrował wnętrze kuchni. Tutaj to samo. Gołe metalowe haki sterczące ze ścian i stos kartonów ustawionych na podłodze świadczyły, iż również wysiłek włożony w umeblowanie kuchni poszedł na marne. Dziewięć minut. Najwyższy czas. aby zakończyć wizytę.

Gdy kończył zamykanie pierwszego zamka, usłyszał wyraźny hałas windy. Zasuwa... Zamki zacinają się niekiedy i niestety następuje to zazwyczaj w najmniej stosownych okolicznościach. Hałas windy narastał. Zatrzyma się czy nie? Głośny metaliczny szczęk. Nie, pojechała! Odetchnął z ulgą.

Trzy minuty później wychodził z bloku. Zapewne zakupy przedłużyły się. bo właściciela mieszkania nie udało mu się nigdzie dostrzec. Skierował się w stronę przystanku. Zanim jednak zrobił kilka kroków, zatrzymał się w miejscu i przez chwilę głęboko zastanawiał się nad czymś. Potem zawrócił na pięcie i poszedł z powrotem w kierunku bloku.

Była (o właściwie formalność. Gdyby jednak dokonywano oficjalnego przeszukania, zapewne nie pominięto by tej możliwości. Znowu znalazł się w hallu — tym razem jednak nie zatrzymał się przed windami, a poszedł dalej, aż do końca ciemnego korytarza, tam. gdzie znajdowało się wejście do klatki schodowej.

Zszedł na dół, do piwnicy. Otwarcie drzwi, odnalezienie w: ciemnościach wyłączników i wreszcie poszukiwanie właściwej piwnicy zajęło mu około pięciu minut. Spojrzał! na zegarek. Dokładnie za kwadrans zaczynała się odprawa, na której musiał być obecny.

Kłódka i masywny skobel pokryte były grubą warstwą kurzu. Co najmniej od miesiąca, a może nawet od dwóch czy trzech miesięcy nikt tutaj nic zaglądał. Przez drewniane sztachety można było dostrzec dużą drewnianą skrzynię, jakieś stare walizki, kilka kartonów i sporo zwykłych rupieci. W sumie nic szczególnego.

Iść czy nie? Czternaście minut. Wyjął z kieszeni kółko z kluczami i otworzył drzwi. Wątła smuga światła z miniaturowej latarki była prawie niewidoczna, ale było to lepsze niż nic. Włożył latarkę w zęby i zabrał się do systematycznych poszukiwań.

Kartony, stare puszki po farbie, pędzle, jakieś szmaty. Nic. Walizka numer jeden: stare łachmany. Walizka numer dwa: to samo. Skrzynia... Usunięcie z jej pokrywy kilkunastu garnków-, worka ze słoikami i trzech pak zawierających stare gazety kosztowało go sporo wysiłku. Gdy skończył, całą twarz miał wilgotną od potu, a elegancki płaszcz nadawał się tylko do pralni.

Spojrzał na zegarek Za cztery dziesiąta. Nie miał nawet co marzyć o zdążeniu na odprawę. Szarpnął pokrywą skrzyni. Rozległ się głośny skrzyp słyszalny zapewne aż do drugiego piętra wwyż. Skrzynia otworzyła się. Na dnie ujrzał kilkanaście brudnych słoików i stary karton po telewizorze. Przytrzymując

jedną ręką pokrywę uchyli! jeden z tekturowych segmentów. W środku stała prostokątna skórzana torba — jedna z tych, których często używają fotografowie, a które rok temu w wersji czarno-żółtej ozdobione napisami „KODAK” podbiły rynek.

Zagryzł wargi. Dotychczasowy przebieg poszukiwań nasuwał podejrzenie, że w torbie powinien znaleźć rosyjską drewnianą babę z kilkoma mniejszymi w brzuchu. Wydobył torbę na zewnątrz i otworzył zamek błyskawiczny.

Wydawało się, że latarka nagle zgasła. Poczul najpierw lodowaty chłód, a potem fale gorąca. Musiał oprzeć się o ścianę. Zamknął oczy. zrobił trzy głębokie wdechy i dopiero wtedy, gdy poczuł, że ciśnienie spadło do normy, zajrzał znowu do wnętrza torby.

W środku oprócz cienkich skórzanych rękawiczek znajdowała się pękata butelka z brązowego szkła, plastikowy pojemnik po płynie do mycia szyb oraz duża strzykawka.

Wydobył z kieszeni czystą chustkę i zabrał się do pracy. Zaczął od pojemnika. Wewnątrz bulgotała resztką płynu. Otworzył zatyczkę i nacisnął plastikowe ścianki. Zapach aerozolu świadczył, że w skład płynu musiała wchodzić duża ilość spirytusu. Kolejną porcję rozpylił na wierzch dłoni. W świetle latarki można było wyraźnie dostrzec szare, opalizujące krople. Dmuchał, aby przyspieszyć proces parowania. Po niecałej minucie na skórze została tylko cienka warstwa szarej substancji, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak ślady zwykłego brudu.

Butelka. Płyn, który przelewał się w środku, był bardzo gęsty. Otworzył gumowy korek oznaczony licznymi śladami nakłuc i wylał kilkanaście kropel płynu na chustkę. Laboratorium będzie miało czym się zająć.

Strzykawka. Zwykła, „Record”. z długą igłą. Tłoczek nie dawał się poruszyć. Widocznie po ostatnim użyciu nie była umyta.

Włożył wszystko z powrotem do torby i zasunął zamek. Boczne kieszenie wydawały się na pierwszy rzut oka zupełnie puste. W jednej z nich udało mu się jednak znaleźć krótki kawałek grubego kabła zakończonego z jednej strony wygodnym uchwytem, z drugiej zaś stalową kulką. Zapewne ten właśnie prosty przyrząd posłużył do pozbawienia życia Antoniego Sperkowskiego.

Odłożył torbę na miejsce, zamknął skrzynię i ustawił wszystko na swoich miejscach. Była dziesiąta piętnaście. Zamknął drzwi, zgasił światło i wyszedł.

Miał nareszcie swojego mordercę. Osiemdziesiąt trzy dni żmudnej grzebaniny przyniosły wreszcie efekty. Udało się! Mógł teraz kpić ze swoich oponentów. Kandydat był idealny — „pasował” wprost znakomicie.

Pomimo to wcale nie był zadowolony. Przeciwnie: czuł się koszmarnie. Rola figuranta nie była nigdy jego specjalnością, a teraz nic nie mógł uchronić go przed wzięciem jej na swoje barki.

Gdy pojawił się w komendzie, dochodziła godzina jedenasta. Spoza drzwi oznaczonych numerem 248 nie dochodził najśłabszy dźwięk. Trudno było rozstrzygnąć, czy był to wpływ grubej, gąbczastej wyściółki, którą wyłożone były drzwi, czy też, odprawa dawno się już skończyła.

Nacisnął klamkę. Słaby głos prelegenta ucichł jak ucięty nożem i czternaście par oczu zwróciło się w stronę wejścia. Byli tu wszyscy, z którymi miał okazję zawrzeć znajomość przy prowadzeniu tego dochodzenia. Skromna odprawa robocza zamieniła się w prawdziwą konferencję. Dokładnie naprzeciwko drzwi zauważył majora Adam-ca — swojego bezpośredniego zwierzchnika. Centralne miejsce zajmował siwowło-

sy generał, który niejednokrotnie przewodniczył tego rodzaju imprezom. Były również osobistości z resortu oraz wszyscy najbliżsi współpracownicy z majorem Nałęczem na czele. Widownia była w komplecie.

Uklonił się i starając się robić jak najmniej zamieszania zajął miejsce przy końcu długiego stołu. Przez długi czas trwała głucha cisza — przerwa w prelekcji umożliwiła zebrany podziwianie jego brudnego płaszcza, zmierzwionych włosów i czerwonej z wysiłku, spoconej twarzy. Potem generał poprosił jednego z inspektorów o kontynuowanie wystąpienia.

Na pewno nic był to najlepszy moment na rozbieranie się i przygotowywanie materiałów. Szelest papieru, skrzypienie krzesła, trzask odpinanych zamków czy wreszcie głośny brzęk upadającego na podłogę metalowego wytrycha były doskonale słyszalne i ściągały na sprawcę zamętu uwagę całej sali. Zaczęły się szepty i pokasływania. Przewodniczący naradzie generał zmarszczył surowo brwi.

Inspektor Zawadzki rozłożył ręce w geście oznaczającym prośbę o wybaczenie i zajął się przeglądaniem papierów. Nic sądził zresztą, aby wystąpienie było warte uwagi. Był przekonany, że jego celem jest jedynie zapełnienie czasu przed właściwą częścią narady, która, jak przypuszczał, związana będzie ściśle z jego osobą.

Okazało się, że przewidywania były trafne. Gdy tylko młody inspektor zamilkł, rozpoczęło się godzinne widowisko przypominające żywo czasy inkwizycji. Ostrożne początkowo słowa krytyki i łagodne zastrzeżenia bardzo szybko zamieniły się w bezpardonową napaść. Miażdżącej krytyce poddano zarówno sposób prowadzenia śledztwa jak i ostateczne jego wyniki. Zgodnie z zasadą, iż w przeciwieństwie do sukcesu kieszka ma niewielu rodziców, głównym celem ataków stał się kierownik zespołu operacyjnego, inspektor Andrzej Zawadzki.

Decyzje powierzenia młodszemu oficerowi tak poważnego zadania określono mianem szaleństwa, nie przebierając w słowach napiętnowano niekompetencję, bałaganiarstwo i nieudolność. Do głosów tych dołączyły ostre słowa krytyki ze strony współpracowników inspektora, narzekających na styl pracy i jego trudny charakter. Najdalej posunął się oczywiście major Nałęcz.

— Indywidualizm tego człowieka i brak umiejętności współpracy — powiedział w pewnym momencie wskazując palcem winowajcę — osiągnęły wręcz chorobliwe rozmiary. Dysponując ogromnym aparatem śledczym pan inspektor tracił mnóstwo czasu na pozbawione sensu działania na własną rękę. Oto dowody — major potrząsnął kilkoma kartkami papieru. — Sprawa niejakiego Jerzego Deczela. Jak panowie myślą, co robi kapitan Zawadzki, aby uzyskać informacje o podejrzanym? Wsiada w pociąg i jedzie w teren, aby osobiście, powtarzam osobiście, zebrać odpowiednie dane. To właśnie dlatego pan kapitan nie mógł wczoraj spotkać się z nami! Jak to nazwać? Doprawdy brakuje słów... Nasuwa się tylko pytanie: jak w takich okolicznościach można było osiągnąć jakiegokolwiek wyniki?

Inspektor uśmiechnął się ironicznie. Drugi rzut pracował bezbłędnie. Nie mogąc rzucić wszystkich sił do walki z wrogimi agenturami major wykorzystał je do odpowiedniejszych celów.

— Następna sprawa — Nałęcz nie patrzył już nawet w stronę bohatera narady. — Ukrywanie faktów, zatajanie wyników dochodzenia. Jak w takiej atmosferze można pracować? Panowie jesteście świadkami; pytałem przedwczoraj o przebieg dochodzenia w sprawie Jerzego Deczela. Znacie odpowiedź, jakiej mi udzielono. Skoro pan Deczel nie nadaje się do roli podejrzanego, to po co zbierać o nim informacje? O co w tym wszystkim chodzi? Co za gra jest prowadzona za naszymi plecami?

Inspektor milczał.

— Prosimy o odpowiedź, panie inspektorze. Prosimy o oficjalną odpowiedź: czy pana zdaniem należy kontynuować dochodzenie w sprawie Jerzego Deczela, czy też nie?

Inspektor nie odzywał się ani słowem. Zgodnie z logiką powinien teraz wstać i w paru słowach zawiadomić o sukcesie. Największym sukcesie swego życia. Oczywiście oznaczało to również wyrok dla byłego komendanta z gminy Zakole, Przy tych dowodach obciążających nie miał najmniejszych szans. Wystarczyła jedna rewizja. Był ogromnie ciekawy, czy po 83 dniach dochodzenia chciałoby się komuś sprawdzać wszystko od początku. Może zresztą w ogóle nic było takiej potrzeby i ktoś, kto zaplanował to wszystko, mógł w każdej chwili udzielić potrzebnych wyjaśnień.

— No więc, panie inspektorze, słuchamy! Przełknął ślinę. Gdyby choć wiedział, jakimi informacjami dysponuje major... Opieranie się na mglistych przypuszczeniach mogło tylko oznaczać katastrofę. Zarówno dla niego, jak i dla Jerzego Deczela.

— Słuchamy, panie inspektorze!

Rozejrzał się po sali. Jak mu się zdawało twarze większości zebranych wyrażały politowanie.

— Słuchamy.

Opuścił głowę i milczał jeszcze przez długą chwilę. Potem roześmiał się na głos i popatrzył wprost na swego adwersarza.

— Co pan chce wiedzieć, panie majorze? Czy Jerzy Deczel nadaje się do roli podejrzanego? Odpowiedź jest chyba oczywista: nikt nie nadaje się do tej roli. Pytanie drugie; czy należy kontynuować zbieranie informacji na jego temat? Oczywiście! Jestem absolutnie przeświadczony o konieczności takich działań. Należy użyć wszelkich środków w celu ujawnienia prawdy, Mam zresztą nadzieję, że to pan osobiście podejmie się tego działania. Oczywiście z pomocą swoich wywiadowców. Kto wie, może ściągnie pan również kogoś z zagranicy?

Na sali zapanowała głucha cisza.

— Co do metod i wyników prowadzenia śledztwa — nie mam nic do powiedzenia. To wszystko. Panie generale, mam sporo pilnych spraw. Proszę o pozwolenie opuszczenia Sali.

## Rozdział 15

---

— Sprawa pierwsza: zwolnicie się z pracy. I to zaraz.

Sierżant Kamiński skinął głową. Rozmowa, na którą wreszcie zdobył się inspektor, miała miejsce w małej salce konferencyjnej, która przypadkiem akurat była pusta. Wciąganie młodego stażysty w niebezpieczną rozgrywkę wiązało się z dużym ryzykiem. Ale nie miał innego wyjścia. Musiał wreszcie komuś zaufać. Od dłuższego czasu cierpliwie przekonywał się, że podejmowanie jakichkolwiek działań jest bez

sensu i że ośmieszy się tylko przed swoimi' podwładnymi. Postanowił jednak zaryzykować. Coś mówiło mu, że nie wszystko w tej sprawie było z góry ukartowane. Wydawało się to zupełnie niemożliwe.

— Po drugie: nawiążecie kontakt z człowiekiem, który nazywa się Jerzy Deczel. Zapamiętajcie to nazwisko.

Wyjął z kieszeni oryginał specjalnego pisma, które nakazywało wszelkim organom prawa, instytucjom państwowym i urzędom udzielanie wszelkiej pomocy kapitanowi Andrzejowi Zawadzkiemu, kierownikowi specjalnej grupy operacyjnej KGMO...

— Pokażecie mu to pismo. Żadnych wyjaśnień i żadnych pytań. Ma tylko dokładnie wykonywać polecenia. Przede wszystkim niech natychmiast wyniesie się z domu i przeprowadzi do was. Tam obydwaj macie czekać na moje instrukcje.

Sierżant Kamiński skinął głową. Podniósł się z miejsca.

— Panie kapitanie...

— Słucham.

— Panie kapitanie, chciałbym tylko o coś zapytać...

Popatrzył na zegarek.

— Nie mamy czasu. No, ale mówcie, o co chodzi?

— Jedno pytanie: czy pan już wie? Inspektor westchnął głęboko.

— A jak myślicie, sierżancie — powiedział patrząc gdzieś w przestrzeń. Jak myślicie, czy w innym wypadku wezwałbym was tutaj?

Sierżant odwrócił się i podszedł do drzwi.

Gdy tylko ucichł na korytarzu odgłos kroków, inspektor włożył do ust kolejnego papierosa, sięgnął po aparat telefoniczny i nerwowo wykręcił pierwszy numer.

Rejestratorka z Dzielnicowej Poradni Zdrowia Psychicznego przy ulicy Gruzińskiej 3 zapewne gdzieś wyszła. bo przez długi czas w słuchawce odzywał się tylko długi, urywany sygnał. Wreszcie usłyszał kobiecy głos. Nie przedstawiając się zapytał o możliwość zapisania się na dzień dzisiejszy. Nie było żadnych przeszkód. Wszyscy lekarze byli obecni, a doktor, o którego mu chodziło, pracował do 16. Odetchnął z ulgą. Miał jeszcze ponad cztery godziny czasu.

Pięć minut później zjawił się w swoim gabinecie. Po otwarciu drzwi przeżył prawdziwy szok: wszystkie akta, sterty papierów, zostały usunięte. Zabrano gdzieś połowe łóżko. Gabinet lśnił czystością i wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać zawsze pokój młodszego oficera komendy głównej. Na swoim biurku nie udało mu się dostrzec ani jednego zbędnego przedmiotu. Natomiast na sąsiednim biurku zauważył czytając czarną aktówkę. Nie był już sam. Świadczył o tym ponad wszelką wątpliwość niedopałek carmena tłący się w popielniczkę. Sam zapach tych papierosów wywoływał u niego silny ból głowy.

W pierwszej chwili był pewien, że pad! ofiarą pomyłki. Zrobi! nawet ruch, aby zamknąć drzwi i zawrócić. Wystarczyło jednak spojrzenie na tabliczkę z numerem. Niestety, to był niewątpliwie jego pokój.

Westchnął głęboko i wszedł do środka. Zawartość biurka wydawała się nietknięta. Otworzył szuflady pełne pogniecionych papierów przysypanych popiołem z papierosów. W tej chwili interesował go właściwie



tylko jeden dokument. Banalne zestawienie oddanych do laboratorium materiałów-. Lokal numer 67. Właściciel: Zygmunt Miller, lekarz. Sprawdził wszystko bardzo dokładnie. Żaden z przedmiotów znajdujących się w mieszkaniu doktora nigdy nie był w milicyjnym laboratorium.

Wśród drobiazgów znajdujących się w szufladzie znalazł jednego, w połowie wykruszonego papierosa i pudełko zapalek. Tłąca się bibułka i stary, wyschnięty tytoń wydzielający okropny zapach wszystko jednak było lepsze od tego. co zastał. Potrzebował teraz kilku minut absolutnego spokoju i choć odrobiny normalnej atmosfery.

Gdy skończył papierosa, na lśniącej szklanej talii, która przykrywała blat biurka, oprócz okruchów tytoniu i czarnych zwitków spalonej bibułki można było również dostrzec pokaźne ilości popiołu, który nie zdążył trafić do popielniczki. Nic wiedzieć czemu, widok ten przysporzył mu sporo satysfakcji. Dla dopełnienia obrazu umieścił jeszcze na samym środku biurka na wpół otwarte pudełko pełne wypalonych zapalek, wstał i wyszedł.

Tak jak przypuszczał, sala konferencyjna, w której do niedawna mieścił się sztab prowadzonej przez niego akcji, wyglądała teraz jak gabinet, który przed chwilą opuścił. Jeden dzień jego nieobecności wykorzystano do maksimum.

Poszedł więc prosto do archiwum. Kierownik przyjął go raczej chłodno. Całą satysfakcję z odzyskania dokumentów przetrzymywanych bezprawnie przez zespół kapitana Zawadzkiego mąciła konieczność posegregowania kilkuset kilogramów papieru, które przybyły do archiwum w rezultacie podjętych ostatnio działań porządkowych. Trzeba było przeznaczyć na to specjalne pomieszczenie, oddelegować ludzi...

Inspektorowi udało się jednak uzyskać informację, że ma prawo korzystać w pełnym zakresie ze wszystkich materiałów, oczywiście zgodnie z przepisami regulaminu, które od tej pory — kierownik podkreślił! to z naciskiem — będą egzekwowane z całą stanowczością.

Po tym krótkim wstępie wprowadzono go do pokoju, który do wysokości półtora metra był szczelnie wypełniony stertami papieru. „Jak na osiemdziesiąt trzy dni - pomyślał inspektor - zupełnie dobry rezultat. Jak można w ogóle podawać w wątpliwość wyniki dochodzenia?!”

Powiesił płaszcz na wieszaku i zabrał się do przeszukiwania kolejnych stert. Prawie przez kwadrans kierownik obserwował go uważnie — w końcu jednak machnął ręką i wrócił do swoich zajęć.

Inspektor pamiętał doskonale, że listy zawierające anonimowe doniesienia, których napłynęło w sumie ponad kilka tysięcy, umieszczone były w dużym tekturowym pudle, które zazwyczaj stało pod ostatnim stołem w sali konferencyjnej. Odnalazł je dopiero po półgodzinie na samym dnie piramidy zajmującej jeden z rogów pokoju. „Oto skutki porządków pomyślał ze złością. - Cały czas traci się na szukanie”.

Zaczął od najnowszych listów. Najwięcej pochodziło z Warszawy, drugie miejsce zajmował bezsprzecznie Śląsk. Ostatni list, ze Szczecina, nadano osiem dni temu. „Dobre i to” — pomyślał. Pobieźnie zapoznał się z jego treścią. Podobnie jak większość anonimów zawierał pozbawione sensu majaczenia. Pomimo to starannie schował kilka kartek papieru do swojej teczki. Pustą kopertę włożył natomiast do kieszeni. Wsunął pusty karton na swoje miejsce i przykrył go stertą papierów. Na samym szczycie góry dokumentów leżała pękata torba. ..Wykaz numer 11z26” — przeczytał na okładce. Włożył teczkę pod pachę i starając się nie patrzeć dłużej na deprymujące dowody prawie trzymiesięcznych daremnych starań zgasił światło i zamknął za sobą drzwi.

Kierownik dokładnie obejrzał teczkę i jej zawartość i przed jej oddaniem podsunął mu trzy formularze do podpisu. Podpisał. Kwadrans później rozbebeszony stos papierów znalazł się na jego biurku dokumentując wymownie, że znowu zabrał się do pracy.

Narada jeszcze trwała i wywołanie do telefonu inspektora Ilczuka wymagało wielu wysiłków. Ton jego głosu świadczył, że stanowcze wezwanie do gabinetu przełożonego wywołało prawdziwy szok. Reakcję tę potwierdził zakłopotany wyraz twarzy, gdy kilka minut później zjawił się na górze.

— Panie kapitanie po wysłuchaniu cierpkich uwag na swój temat inspektor stracił ostatecznie ochotę na poufalości — otrzyma pan nowe zadanie.

Otworzył teczkę i ostrożnie wydobyl z niej wypchaną kopertę, którą przed chwilą przyniósł z archiwum. Zawartość koperty, jak można było się przekonać patrząc przez uchylone brzegi, stanowiła wymięta, poplamiona tkanina, na pierwszy rzut oka wyglądająca jak zwykła chustka do nosa.

— Proszę jak najszybciej zanieść to do laboratorium i poprosić o ekspertyzę zarówno koperty, jak i zawartości. Wyniki będą potrzebne natychmiast. Zrozumiał pan?

— Oczywiście.

— To świetnie. Teraz następna sprawa; wyniki odbierze pan osobiście i przekaże mnie Tylko i wyłącznie mnie osobiście. Czy to jasne?

—No... niezbyt jasne... — inspektor uśmiechnął się ironicznie.

—Ale czuje się pan dobrze? Wzrok, słuch — wszystko w normie?

— Sądziłem jednak...

— Gównu mnie to obchodzi. Nie interesują mnie wasze opinie i sądy. Macie wykonać polecenie, jasne?

Cisza.

— Jesteście wolni.

Głośnie trzaśnięcie drzwiami świadczyło, że inspektor Ilczuk ciągle nic nabrał dobrych manier. „Zrozumiały, niełojalny gówniarz” - pomyślał inspektor. Był szalenie ciekawy, jak ułożą się jego losy pod troskliwą opieką majora Nałęcza.

## Rozdział 16

---

Dokładnie o pierwszej inspektor znalazł się przed starym, dwupiętrowym domem, w którym mieściła się Poradnia Zdrowia Psychicznego.

Kierowniczką była zażywną damą w średnim wieku i bynajmniej nie wyglądała jak uosobienie zdrowia psychicznego. Skłonność do egzaltacji, chaotyczny sposób mówienia, przesadna, nerwowa gestykulacja sprawiały, że inspektor niezbyt chętnie widziałby ją w roli swojego terapeuty. Kierowniczką jednak lubił mówić i jako źródło informacji zasługiwała na wysoką notę.

Rozmowa zaczęła się oczywiście od elegii na cześć doktora Millera.

— Wspaniały lekarz, wspaniały kolega, cudowny, szanowany przez wszystkich człowiek — zaniósł się komplementami pani doktor. Jaki entuzjazm do pracy! Jaka chęć poświęcenia się dla innych! Jaki zapał w niesieniu pomocy! I taki człowiek... — pani doktor załamała ręce. — Taki człowiek musiał skończyć...

Inspektor kątem oka spojrzął na zegarek. Pierwsza osiem.

— Doktor Więckowski opowiadał nam o wszystkim. Byli przecież razem na tym zjeździe. Dostali nawet ten sam pokój. Pogotowie, szpitale... Był razem z nim przez cały czas. Opowiadał nam dokładnie o wszystkim. To straszne! Naprawdę straszne! Takie możliwości, taki umysł i taki koniec... Nie mieści się to w głowie. Wprost nic można w to uwierzyć!...

Pierwsza dziesięć...

— A jego praca! Referat ponoć przyjęto znakomicie. Entuzjazm, uznanie, nawet profesor Bell z Harvard... ale co tam! Co to wszystko jest warte! Kariera... Co z kariery, co z tytułów, co z pracy... Mój Boże, po co to wszystko?

Pierwsza jedenaście.

— Pani doktor — po krótkiej chwili milczenia inspektor zdobył się na odwagę, aby pierwszy zabrać głos. — Właściwie przyszedłem, aby zapytać o pewną sprawę... Chodzi o akta...

— Przepraszam, o co?

— O akta. A raczej o karty waszych pacjentów. A raczej o karty waszych pacjentów.

— Był tutaj ktoś od was, z milicji. Sprawdzał, szukał. Udostępniliśmy wszystkie dane.

— Tak, oczywiście. Jesteśmy bardzo zobowiązani. Tylko że w tych danych są luki.

— Nie rozumiem.

— Zaraz to wyjaśnię. Nie chciałbym oczywiście sugerować, że pani czy inni pracownicy ponoszą tutaj jakąś winę...

— Winę?

— Proszę pani, mówiąc konkretnie: brakuje nam pewnych danych. Czy jest pani przekonana, że udostępniono nam karty wszystkich, powtarzam: wszystkich pacjentów? Chodzi nam zwłaszcza o pacjentów doktora Millera. Czy pani może za to zaręczyć?

— Naprawdę, nie rozumiem pana...

To ważne, pani doktor. Losy wielu ludzi... —? Ależ proszę pana! Pan oczywiście przesadza. Poza tym pański ton...

— Przykro mi. Ale to bardzo ważne dla nas. Naprawdę ważne.

— Skoro tak... No cóż, sprawdźmy! Podniosła słuchawkę telefonu i wezwała na górę panienkę z rejestracji. Zanim dziewczyna zrozumiała, o co chodzi, zanim wezwała zastępstwo, zanim wreszcie doszła na górę, minęło prawie dziesięć minut. Inspektor nerwowo zagryzł wargi. Zrobiło się naprawdę późno.

Dwudziestokilkuletnia panienka o wyglądzie, który mógł zrujnować podświadomość starego Freuda, nie należała do najbardziej rozgarniętych. Po długich tłumaczeniach zdołała z siebie wydusić, że karty prze-

chowywane są albo w centralnej kartotece w rejestracji, albo w kartotekach podręcznych, znajdujących się w' gabinetach lekarskich.

— Oczywiście udostępniono nam jedynie zawartość tej pierwszej kartoteki? zapytał inspektor.

— Nonsens — wybuchnęła kierowniczka. — Udostępniono wam zawartość wszystkich kartotek! I to pomimo protestów lekarzy!

— Jest pani tego pewna?

— Najzupełniej.

— No dobrze — inspektor uśmiechnął się z przymusem. — Czy jednak nie istnieje możliwość, że na przykład doktor Miller czy ktoś inny z lekarzy zabierał niektóre karty ze sobą... Powiedzmy, do pracy naukowej?

Kierowniczka milczała.

Czy pani coś wiadomo na ten temat? — inspektor zwrócił się do rejestratorki, — Może coś pani słyszała, widziała...

— Właściwie... —dziewczyna zająknęła się.

— Właściwie — co?

— Właściwie to doktor Miller zawsze nosił część kart przy sobie.

— Co takiego? — krzyknęła kierowniczka.

—Proszę się uspokoić, pani doktor! Proszę pani. jeszcze chwila; jak się pani zdaje, dlaczego tak było?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

— Niech pani się dobrze zastanowi. To ważne

— No więc, no więc... —zdobycie się na odwagę przychodziło jej z najwyższym trudem. — Więc doktor Miller tłumaczył to nawet kiedyś mojej koleżance... Powiedział, że nie chce, aby do tych danych miały dostęp osoby nieodpowiednie... Osoby niepowołane.

— Co takiego?! — po raz drugi krzyknęła kierowniczka.

— Pani doktor, wszystko rozumiem, ale naprawdę są ważniejsze sprawy. Dziękujemy pani — zwrócił się do rejestratorki. —Jest pani wolna.

Drzwi zamknęły się.

— Pani doktor, jeśli pani pozwoli, tylko dwa pytania...

Kierowniczka opanowała się z najwyższym trudem.

— Słucham.

— Pierwsza sprawa: dysponuje pani oczywiście adresami i numerami telefonów swoich współpracowników...

— Oczywiście.

— A doktor Miller... Ma pani również i jego adres i numer, prawda?

— To chyba jasne.

— Czy mogłaby pani odszukać te dane?

Kierowniczka otworzyła szufladę i wyjęła gruby zeszyt w czarnej oprawie. Przy nazwisku „Miller” znajdowały się dwa adresy i jeden numer telefonu.

Inspektor westchnął głęboko. Wiedział oczywiście, że doktor Miller utrzymuje stosunki ze swoją byłą żoną. Nie sądził jednak, że były to stosunki tak bliskie. Zapewne właśnie u niej znajdowały się karty, których nie udało się znaleźć ani w przychodni, ani w mieszkaniu, w którym spędził on ostatnią noc przed wyjazdem.

— Bardzo nam pani pomogła — powiedział uśmiechając się uprzejmie. - Mam jednak jeszcze jedną sprawę.

— Tak?

— Po śmierci doktora Millera... Czy mogłaby pani powiedzieć, kto przejął jego pacjentów?

— Pacjentów' Millera? Nowy lekarz. Doktor Macke. Niedawno przyjęliśmy go do nas.

— No dobrze; ale zanim doktor Macke przyszedł do pracy?

Kierowniczka wzruszyła ramionami.

— Wtedy oczywiście pacjentami doktora Millera zajmował się doktor Więckowski. Od kilku lat pracowali zresztą w tym samym gabinecie.

— No tak — inspektor skinął głową, — To właściwie wszystko — podniósł się z miejsca. — Przepraszam, jeszcze chwilę, ostatnia sprawa... a właściwie dwie... Czy pani przypadkiem nie przypomina sobie, jak nazywał się funkcjonariusz, który rozmawiał z panią poprzednio?

Kierowniczka sięgnęła do grubego notesu, leżącego na biurku. Przerzuciła kilkanaście kartek.

— Tutaj mam zapisane — powiedziała wreszcie. — Nazywał się Ilczuk. Niech pan patrzy: wiórek, 12.30. kapitan Ilczuk. Bardzo sympatyczny młody człowiek ?-- dodała.

— Jestem tego samego zdania, pani doktor. I już ostatnie pytanie. Interesuje mnie bardzo temat pracy naukowej doktora Millera. Ten referat wygłoszony w Starej Dąbrowie... Czego, tak w przybliżeniu, dotyczył?

Kierowniczka popatrzyła na niego z politowaniem. Sięgnęła do szuflady i wyjęła cienką zszywkę. Była to. jak mógł dostrzec, odbitka artykułu opublikowanego w czasopiśmie naukowym.

— Proszę, może pan sam przeczytać. Ten artykuł jest niemal dosłownym powtórzeniem treści referatu wygłoszonego na zjeździe. Jak pan widzi, opublikowano go dopiero po śmierci autora.

Inspektor podziękował za pomoc, przeprosił za wszystkie kłopoty i pożegnawszy się z gadatliwą learką opuścił pokój.

Wychodząc ukradkiem przyjrzał się oczekującym w korytarzu pacjentom, a następnie przedarłszy się przez gąszcz bezpieczeństwa płaszczy wiszących obok drzwi wyszedł na zewnątrz.

Gdy dotarł do najbliższego telefonu, była za kwadrans druga. W drodze udało mu się przejrzeć artykuł doktora Millera. Poświęcony był w całości zagadnieniu szkodliwych oddziaływań w pracy lekarza psychiatry, oddziaływań, których efektem bywa często nawet choroba psychiczna. Ostatnie dwa zdania brzmiały; *Za żadną cenę nie można dopuścić do sytuacji, aby terapeuta, któremu powierza się leczenie chorych, kilka razy w tygodniu jeździł na kurację do swojego kolegi psychiatry. Często do innego miasta, często ukradkiem, w tajemnicy.*

„Za żadną cenę nie można dopuścić... — pomyślał inspektor. — Bardzo ciekawe!”

## Rozdział 17

---

Sierżant Kamiński dotarł już do domu. Gdy po kilkunastu sekundach oczekiwania na połączenie w słuchawce rozległ się jego głos. komunikujący że wszystko jest w porządku, inspektor poczuł się jak skazaniec, któremu właśnie odroczone wyrok.

Uczucie ulgi było silne i tak dojmujące, że oprócz pierwszych słów przez chwilę nic w ogóle nie słyszał. Dotarły do niego już tylko końcowe uwagi sierżanta zaniepokojonego brakiem dalszych instrukcji.

— Wszystko jest w porządku — powiedział spokojnym głosem. Jeżeli będziecie robić dokładnie to. co trzeba, nic ma żadnych powodów do obaw. Będziecie mieli trochę pracy... — przekazał » punktach dokładne zalecenia. Polem kazał wszystko powtórzyć. Sierżant pojął wszystko znakomicie.

Następny telefon był zamiejscowy. Wykręcił numer komendy wojewódzkiej w Szczecinie i poprosił do telefonu jednego z inspektorów, którego znał jeszcze ze szkoły oficerskiej.

— Mam do ciebie ważną sprawę zaczął bez zbytecznych wstępów. Chodzi o cinkciarza czy przemytnika nazwiskiem Majewski. Pseudonim „Bekalosz”. Tak, Majewski... Powinniście mieć u siebie całą czytankę na jego temat. Mam pytanie; czy nie dałoby się zgarnąć jego i paru jego koleżków? Jeszcze dzisiaj?

—....

— Wszystko jedno, na ile. Ważne, aby zrobić to dzisiaj. Powiedzmy około ósmej.

—....

— Nie wiem. Akcja „Ład”, „Czystość”... Ruszcie sami głową! To ważne, do cholery!

— ...

— Dobra. I teraz druga sprawa. Prywatna. Zadzwoń w ciągu pół godziny pod numer, który mi podasz.

— ....

— Tak, koniecznie w mieście, Nie będę załatwiał prywatnych spraw przez służbowy telefon. To ważne!

— ....

— Jeszcze ważniejsze. Cześć!

Odłożył słuchawkę. Miał godzinę. Wolnym krokiem dotarł do najbliższego przystanku i wsiadł w pierwszy autobus, jadący w kierunku osiedla Goław.

„Zupełnie, jakbym tutaj mieszkał” — pomyślał, gdy po raz drugi tego dnia zobaczył znajomy widok budujących się domów. Doktor Miller mieszkał w pierwszym z trzech wieżowców na siódmym piętrze. Mieszkanie do tej pory stało puste. Podobno rodzina zamierzała je sprzedać czy wynająć, ale najwyraźniej decyzja nie przychodziła łatwo. Pokoje ludzi zmarłych traktuje się często jak sanktuaria i przez całe lata nic zmienia żadnych szczegółów urządzenia nie mówiąc już o wpuszczeniu do nich ludzi obcych. Był to bardzo pożyteczny przesąd. Dzięki temu mógł liczyć, że w środku zastanie wszystko w takim sianie, jak pozostawił to właściciel.

Na drzwiach było jeszcze widać ślady stempli. Wyjął klucze, które niedawno temu wypożyczył od właścicieli, i otworzył zamki,

Wszystko było dokładnie tak, jak się spodziewał. Zapach dawno nie wietrzonego pomieszczenia oraz gruba warstwa kurzu na meblach świadczyły, że od dawna nikt tutaj nie zaglądał. Można było przypuszczać, że niewiele zmieniło się od dnia śmierci doktora Millera. W pokoju widać było jeszcze charakterystyczne ślady przygotowań do podróży. Na tapczanie leżały dwie koszule, które zapewne nie zmieściły się do walizki, i kilka grubych książek. Drobiazgi stanowiące zawartość dużego glinianego wazonu leżały rozsypane na biurku. Inspektor obejrzał je uważnie. Były tu jakieś stare gumki, igły, korki, ponadto kilka małych kluczy. „Aha — domyślił się — zapewne szukał kluczyków od walizki”.

Nic było widać żadnych śladów przeszukania, które odbyło się prawie trzy miesiące temu. „Zostawili wszystko w idealnym stanie pomyślał z uznaniem. Pewnie zresztą nie wysilali się za bardzo. Wtedy nie było nawet w przybliżeniu wiadomo, czego szukać”.

On natomiast wiedział doskonale, co chciał znaleźć. Przedmiot ten powinien być w mieszkaniu, a jednocześnie — jak ustalili po namyśle — nie mógł się tu znajdować. Był to właściwie jedyny słaby punkt w precyzyjnym planie mordercy. Na jego usprawiedliwienie można było tylko dodać, iż chodziło o drobiazg, nad którym powinno przejść się właściwie do porządku. „Nad którym wszyscy przeszli do porządku” — pomyślał przypominając sobie dotychczasowy przebieg dochodzenia.

Zabrał się do pracy. Po kilku minutach wiedział już prawie na pewno, że jego teoria jest słuszna. Poszukiwania okazały się bezskuteczne. Aby jednak uzyskać całkowitą pewność, kontynuował je prawie przez godzinę. Potem opuścił mieszkanie na kilkadziesiąt minut, aby z automatu znajdującego się po drugiej stronie ulicy odbyć dwie rozmowy telefoniczne.

Pierwszym z rozmówców był jeden z najlepszych wywiadowców, jakich zatrudniała komenda. Mimo że od dnia jego przejścia na emeryturę upłynęło kilka lat, sława jego absolutnej, niemal (biograficznej) pamięci oraz umiejętności prowadzenia niedostrzegalnej obserwacji w prawie każdych warunkach ciągle była jeszcze żywa. Dokładnie wczoraj inspektor wtajemniczył go w swoje plany i skłonił do współpracy. Korzystając ze swoich pełnomocnictw załatwił mu niezbędne wyposażenie, w skład którego wchodził szybki samochód oraz radiotelefon, który umożliwiał nawiązanie łączności na kanale milicyjnymi.

Drugim rozmówcą był natomiast jego kolega ze Szczecina. Jak się okazało, wszystko udało się załatwić: miejsce pobytu Janusza Majewskiego było dokładnie znane, przygotowano kilkusobową grupę ope-

racyjną, która miała dokonać zatrzymania całej jego bandy, kolega otrzymał dokładne instrukcje, których obiecał skrupulatnie przestrzegać. Wszystko szło jak z płatka.

Nieoczekiwana odmiana losu zaniepokoiła go poważnie, toteż po powrocie do domu dalsze poszukiwania prowadzi! z obawą, że wszystko może znowu obrócić się na jego niekorzyść. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że w najgorszym przypadku straciłby tylko ważny dowód. Cała jego teoria była na tyle doskonała, że nie musiała obawiać się takich niespodzianek. Na szczęście obawy okazały się płonne. Poszukiwania były bezskuteczne.

Zanim nadeszła czwarta, wypalił trzy papierosy i przeczytał kilka rozdziałów jakiegoś psychologicznego dzieła. Aby zademonstrować siłę woli i opanowanie wyczekał do chwili, aż duża wskazówka znalazła się dokładnie na cyfrze dwanaście. Dopiero wtedy wyszedł znowu do automatu. Począł chwilę, aż jakaś kobieta skończy rozmowę. Następnie wykręcił domowy numer sierżanta Kamińskiego. Chwila ciszy, Jeden długi sygnał, drugi, trzeci... Zaciśnął palce aż do bólu. Wreszcie cichy trzask. Podniecony głos stażysty Kamińskiego wołającego: halo! Suchość w gardle i jakiś obcy głos, który zadaje najzupełniej idiotyczne pytanie: co słychać?

— Wszystko w porządku, panie inspektorze. Odetchnął z ulgą.

— Zostańcie na miejscu i czekajcie na następny telefon — powiedział po chwili. Odłożył słuchawkę. Wrócił z powrotem do mieszkania na siódmym piętrze. Miał jeszcze sporo czasu. Zamknął dokładnie drzwi, zabrał obydwie koszule z tapczanu i rzucił je na biurko. Położył się wygodnie na białej, wełnianej narzucie. W zamian za wszystkie wysiłki należała mu się chociaż chwila odpoczynku.

Wydawało mu się, że doktor Miller nie miałby nic przeciwko takiej formie rewanzu.

## Rozdział 18

---

W komendzie zjawiał się dopiero o wpół do szóstej. Jak zwykle o tej porze w opustoszałym budynku panowały cisza i spokój: po zatłoczonym zwykle hallu przechadzał się tylko jakiś samotny, spóźniony pe- tent, a zaspany strażnik nawet nie podnosił głowy, aby sprawdzić dokumenty wchodzących.

Wbiegł po schodach na drugie piętro. W tej atmosferze zupełnego spokoju było coś szczególnego, coś, co kazało mu przyspieszyć kroku. Pierwszą osobą, którą minął na korytarzu, był młody człowiek w mundurze porucznika. Już w pierwszej chwili zdawało mu się, że porucznik popatrzył na niego jakoś dziwnie. Idąc dalej usłyszał wyraźnie, iż odgłos oddalających się kroków nagle ucichł. Odwrócił się. Porucznik patrzył na niego w niemym osłupieniu. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Następną osobą, którą spotkał, był pewien major z biura kryminalnego. Major nigdy nie darzył go zbyt wielką sympatią, do tej pory jednak starał się nie okazywać swoich uczuć. Teraz zaledwie wyszedł z za rogu korytarza, roześmiał się na jego widok ironicznie i lekceważąco machnął ręką. Zignorował i to. Kiedy jednak dwóch kolegów zajmujących sąsiedni gabinet minęło go nie przerywając ani na chwilę rozmowy, nie



zdradzając najmniejszym gestem, że widzą go i poznają — wtedy zaniepokoił się poważnie. Zdaje się, że tym razem przeciągnął strunę.

Wszedł do swojego pokoju. Na biurku leżał cały stos kartek różnego formatu zapisanego kilkoma charakterami pisma. Zapalił światło.

*15.15 dzwonił z komendy ze Szczecina — przeczytał na pierwszej z nich. — Proszę natychmiast o kontakt. 15.30 — komenda ze Szczecina prosi o wiadomość w sprawie akcji „Spokój”. Natychmiast! 15.50 kolejny telefon ze Szczecina. Poniżej znajdował się dopisek inspektora Ilczuka: Szukamy pana po całym mieście. Prosimy natychmiast o kontakt 16.00 — Szczecin alarmuje! Ciągłe brak wiadomości. 16. 10 Są wyniki ekspertyzy. Amaniratoksyna! Ostatnie słowo napisane było wielkimi literami i podkreślone trzykrotnie czerwonym flamastrem. 16.15 Jeżeli przyjdzie pan przed wpół do piątej, proszę zgłosić się do mnie jak najszybciej! Nałęcz. Uśmiechnął się. Podczas jego nieobecności musiały się tutaj rozgrywać dramatyczne sceny. 16.20 Kolejny telefon ze Szczecina. Co się z panem dzieje? Nie możemy dłużej czekać, Ilczuk. 16.30 Proszę natychmiast zameldować się u majora. 16.40 Zabieram komandosów z ekipy specjalnej i lecimy do Szczecina, Cały zespół jedzie ze mną. Nałęcz. 16.50 Proszę natychmiast po przybyciu zameldować się u majora. W nawiasie dopisano; i przygotować się do raportu karnego.*

Zmiał wszystkie kartki w dłoni i celnym rzutem posłał je do kosza. Sięgnął po papierosy.

„Komandosi w akcji — pomyślał. — Major nareszcie otrzymał upragnioną zabawkę, a cały zespół zdobył zasłużoną nagrodę po trzech miesiącach bezowocnej pracy... Fachowcy — pomyślał z rozdrażnieniem. — Policja za pięć groszy”,

Zamyślił się głęboko. Ocknął się dopiero wtedy, gdy papieros zaczął parzyć mu palce. Rozgniół niedopalek w popielniczkę i zabrał się do pracy.

Dwadzieścia minut później, po siedmiu telefonach i dwóch następnych papierosach, stał się wyłącznym dysponentem operacyjnego audi z kierowcą oraz dwóch pistoletów maszynowych typu RAK. Nadzwyczajne pełnomocnictwa działały. Jeszcze działały. " Podniósł słuchawkę i wykręcił domowy numer sierżanta Kamińskiego. Upowiedział go, że będą za kilkanaście minut i poprosił, aby czekał na dok.

Schował wszystkie dokumenty do szuflady, sprawdził, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu. Zgasił światło. Po osiemdziesięciu dwóch dniach dochodzenie nieuchronnie zbliżało się do końca. Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Na dole czekał już kierowca. Przywitali się i poszli do samochodu. Komenda dysponowała pojazdami różnych typów, dostosowanymi do różnych zadań. Ośmioletnie, granatowe audi może trochę za bardzo rzucało się w oczy, ale w opinii większości ludzi zupełnie nic kojarzyło się z taborem milicyjnym. Do jego poważnych zalet należał również silny i podobno zupełnie niezawodny aparat nadawczo-odbiorczy.

Inspektor wypróbował go, gdy tylko samochód ruszył. Wbrew jego pesymistycznym przewidywaniom wynikającym ze smutnych doświadczeń w posługiwaniu się skomplikowanymi rodzajami sprzętu już w chwilę po dostrojeniu odbiornika i naciśnięciu guzika automatycznego wywołania, w głośniku rozległo się krótkie beknięcie, a potem ściszone glos wywiadowcy;

— 058 — słucham. Inspektor włączył mikrofon.

— 01, słyszę cię głośno i wyraźnie. Jak sytuacja?

— Jest w domu. Czekam,

W porządku, zostaję na odbiorze.

Odetchnął z ulgą. Była łączność- W tej sprawie stanowiło to element o decydującym znaczeniu.

Pomimo że kierowca nic wysiłał się zbytnio, pod dom sierżanta Kamińskiego znajdujący się w drugim końcu Warszawy dojechali w niecałe dwadzieścia minut. Tak jak było wcześniej umówione, sierżant czekał już na ulicy. Zgodnie z instrukcjami miał na sobie cywilny płaszcz, co sprawiało, że tylko uważny obserwator mógłby dostrzec, że sierżant jest w mundurze.

— Klucze? — zapytał inspektor, gdy tylko sierżant wśliznął się na tylne siedzenie.

Oczywiście, panie inspektorze.

— Był u niego?

— Tak. Wszystko dobrze poszło. Powiedział, że wyjeżdża jutro. Dokładnie tak, jak pan kazał.

Sierżant Kamiński sprawiał wrażenie początkującego hazardzisty, któremu nagle dopisało szczęście. W samochodzie było zupełnie ciemno, inspektor jednak mógłby przysiąc, że sierżant jest albo bardzo blady, albo bardzo czerwony. Charakterystyczny łamiący się głos i przyspieszony oddech mówiły same za siebie.

Aby ostatecznie oszołomić swego współpracownika. Sięgnął do teczki i wydobył czarno oksydowany pistolet. Ostatnie dzieło profesora Wilniewczyca, 9-milimetrowy minipistolet maszynowy był jedną z najbardziej udanych konstrukcji tego typu na świecie. To dla was.

Nieartykułowany bełkot, który dobiegi z tyłu. oznacza! zapewne słowo „dziękuję”.

— Jeszcze dwa magazynki.

Sierżant nie próbował odpowiadać. Wyręczył go kierowca, który zagwizdał cicho i z podziwem pokręcił głową.

— Szykuje się niezła robota — mruknął.

— Pomożecie nam trochę, kapralu... Kto? Ja?

— Tak. Chyba że macie coś przeciwko temu.

Minęli Rondo Waszyngtona. Universam i skręcili w jedną z przecznic. Kilka minut później zatrzymali się na dużym parkingu pod jednym z bloków osiedla Gocławskiego. Inspektor spojrzał w górę. Dwa okna na ósmym piętrze były zupełnie ciemne.

Ósme piętro, lokal numer 63. sierżancie. Zostać tam, prawda?

— Skąd znowu. Zapalcie tylko światło w pokoju i zaciągnijcie zasłony. Potem zamknijcie drzwi i wróćcie do nas.

# Rozdział 19

---

Była prawie siódma. Z głośników radiowych dochodził tylko cichy szum. Inspektor uspokoił się na tyle, że musiał wszystkimi siłami powstrzymać się od zaśnięcia. Szelest ubrania, trzask otwieranych i zamkniętych popielniczek, niecierpliwe bębnienie palcami o szybę i inne odgłosy, dochodzące z tylnego siedzenia świadczyły natomiast, że sierżant Kamiński zupełnie inaczej reaguje na sytuację.

— Panie inspektorze...

— No, słucham.

— Tak. w przybliżeniu... Jak długo to może... Jak długo to potrwa?

Pokręcił głową.

— Nie wiadomo. Może godzinę, może pięć. a może będziemy czekać do rana. Istnieje również możliwość, sierzancie, że w ogóle nic się nie zdarzy.

— Rozumiem. I co wtedy? Wtedy też będą kłopoty.

— Ale przypuszcza pan, że...

— Nie przypuszczam. Wiem. Choć, jak powiedziałem, istnieją również inne możliwości.

— Jeszcze jedno — sierżant zająknął się, — Rozumiem, że wyniki tego dochodzenia są ściśle tajne...

— Tajne? Teraz? Skąd wam to przyszło do głowy, sierzancie? W tej chwili jako mój współpracownik macie prawo do pełnych informacji na temat dochodzenia. Jeżeli macie jakieś pytania, to proszę mówcie.

Sierżant zastanawiał się przez chwilę.

— Chodzi o drobiazg, panie kapitanie. Mały drobiazg, nad którym łamie sobie głowy połowa ludzi w tym kraju. Wystarczy mi odpowiedź na jedno proste pytanie: kto tego dokonał? Kim jest sprawca bądź kim są sprawcy tego przestępstwa?

Inspektor sięgnął po papierosy. Zanosił się na dłuższą rozmowę.

— Kto tego dokonał? Naprawdę was to interesuje, sierzancie? Bardzo dobrze to o was świadczy, ale zastanówcie się: jest tyle lepszych pytań. Na przykład; kogo ukarać? Albo: jak najlepiej chronić interesy własnej instytucji? Albo inaczej: co robić, aby zarówno przełożeni, jak i współpracownicy i opinia publiczna — aby wszyscy co do jednego byli zadowoleni? Wymieniać dalej? Wasze pytanie, sierzancie, jest trochę... nie obrażajcie się... jest trochę naiwne. Chyba za dużo czytacie kryminałów.

— Pan oczywiście...

— Oczywiście, żartuję! Prawda ponad wszystko.

Oslonił dłonią płomyk zapalki i przypalił papierosa. Smakował jak tłące się liście kapusty z domieszką smaru z lokomotyw. W dodatku był pewien, że zgaśnie przy pierwszym głębszym zaciągnięciu się dymem.

— Prawda ponad wszystko — powtórzył. — Ale co zrobić z ludźmi? Z ludźmi, którym nie chce się łamać głowy nad abstrakcyjnymi ideami, którzy nie chcą tracić czasu na nudne i nieefektywne poszukiwania? Co zrobić z ludźmi, którzy zamiast pytać: kto, pytają: kogo? Kogo ukarać? Na kogo zwalić winę? Kogo obciążyć niepowodzeniem? Grunt, aby szybko, aby sprawnie i skutecznie. Aby statystyka nieźle wypadła i zwierzchnicy byli zadowoleni...

Tak jak przypuszczał, papieros zgasł po chwili. Przyczyna, był drewniany kolek, który zawieruszył się pomiędzy okruskami tytoniu „najwyższej jakości”.

— No bo w końcu, sierżancie, to tylko praca. Zawód jak każdy inny. Za rozwiązywanie łamigłówek nikt wam płacił nie będzie. A tu jeszcze żona. dzieci... Trzeba jakoś żyć. prawda?

— Rozumiem, ale...

— Ten człowiek postanowił to wykorzystać — ciągnął dalej inspektor. —? I prawdę mówiąc niewiele brakowało, by osiągnął sukces.

Próba zapalenia papierosa skończyła się niewielkim pożarem i bolesnym oparzeniem warg. Nic zrażony sięgnął znowu po paczkę.

— Pomyślcie: pewnego dnia w stolicy europejskiego kraju ginie 56 osób. Pięć. osiem, dziesięć — nawet kilkanaście wszystko mieści się jeszcze w granicach pojmwania. Ale pięćdziesiąt sześć? Wydaje się to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, sprzeczne z wszelkimi wyobrażeniami o tym, co nas otacza. Odpowiedź na pytanie o cel dokonania takiej rzezi narzuca się więc sama: jest to albo polityczny terror, albo dogodzenie szaleńczym, chorobliwym instynktom. Tymczasem obie te odpowiedzi są fałszywe. Trudno bowiem uwierzyć, aby ktoś był zdolny poświęcić mnóstwo czasu i energii na kłopotliwe przygotowania, wykazać tak wiele odwagi; i odporności nerwowej tylko po to. aby dać upust swojej nienawiści do rodzaju ludzkiego. Sam sposób dokonania tej zbrodni wyklucza tego rodzaju przypuszczenia. Jej autor na pewno nie był szaleńcem z gatunku tych, którzy pod wpływem chwilowego impulsu strzelają do bezbronnych tłumów czy uzbrojeni w siekiere dokonyują rzezi wśród najbliższych. Musiał to być człowiek myślący logicznie i racjonalnie, a jego akcja musiała mieć jakiś cel. Teraz wersja druga: akcja terrorystyczna. Pominąwszy już kwestię celowości tego rodzaju działań możemy mieć chyba zaufanie do kompetencji odpowiednich służb. Brak informacji o istnieniu osób zdolnych do przeprowadzenia akcji lego typu pozwala uznać, że wersja ta nie jest zgodna z rzeczywistością, a poszukiwanie kozłów ofiarnych doprowadzić może tylko do całkowitej kompromitacji aparatu ścigania.

Zapalił wreszcie papierosa. Tym razem udało się.

— Jest jeszcze jedna odpowiedź. Trzecia z kolei i jak wszystko wskazuje — prawdziwa. Stwierdza ona, że ten masowy mord dokonany był w konkretnym celu. W tym miejscu mała dygresja: co wiecie, sierżancie, o tak zwanej zbrodni absolutnej lub inaczej — doskonalej?

— O czym? — temat był dla sierżanta zupełną nowością.

— O zbrodni absolutnej. Nie wiem, jak to było w- waszym przypadku, ale mnie uczono jeszcze, że taka zbrodnia nie istnieje. Nie ma bowiem ani absolutnego alibi, ani motywu, którego nikt nie mógłby się domyślić, ani wreszcie sposobu dokonania zbrodni, którego nie można by ustalić. Innymi słowy nie może istnieć zbrodnia, która z założenia eliminuje wszystkich możliwych zabójców', zbrodnia, której nikt nie mógłby popełnić.

Oslaniając starannie żarzący się koniec papierosa, inspektor głęboko zaciągnął się dymem.

— Jak dotąd wszystko się zgadza, prawda? Nasuwa się tu jednak zasadnicza wątpliwość, którą może wytknąć każdy myślący logicznie człowiek: zbrodnia absolutna — to nie tylko taka, której nikt nic może popełnić — zbrodnia absolutną będzie również i taka, którą popełnić może każdy i która w związku z tym jest również nie do wykrycia. To zdanie tylko z pozoru jest absurdalne. Nie każde bowiem przestępstwo ma ograniczony krąg podejrzanych. Przypomnijcie sobie chociażby kolejne dochodzenia w sprawie „wampirów”, które od pierwszych dni prowadzone były na ogromną skalę obejmując wreszcie obszar całego kraju i wszystkich mężczyzn pomiędzy dwudziestym a czterdziestym rokiem życia, noszących powiedzmy dzinsy i skórzane kurtki.

Przez chwilę panowała cisza.

— Co więcej, sierzancie, ten — nazwijmy go „masowy” — typ zbrodni jest potencjalnie o wiele groźniejszy. Z punktu widzenia naszych możliwości praktycznie nieograniczona liczba podejrzanych, nieograniczona liczba ewentualnych motywów sprawiają, że dochodzenie napotyka wicie barier i że zbrodnia może nie zostać wykryta z racji braku dostatecznych sił i środków, którymi dysponuje aparat ścigania. Zwiększa się również prawdopodobieństwo popełnienia poważnych błędów. Staje się jasne, że przy takiej skali działania dochodzenie będzie raz po raz powiedzmy obrazowo — potykać się o własne nogi. Staje się również jasne, że wywierane będą poważne naciski z zewnątrz, uniemożliwiające normalną pracę. Pomyślcie: pięćdziesiąt sześć osób! Lista ofiar zajmuje pół strony maszynopisu, lista podejrzanych dwadzieścia czy trzydzieści stron. Liczba ewentualnych motywów — niemożliwa wręcz do ogarnięcia. Dokładne sprawdzenie wszystkiego jest po prostu niemożliwe i to nawet biorąc pod uwagę skalę przyznanych nam środków. Dodajmy jeszcze do tego nasz własny interes jako pracowników instytucji; interes, który każe nam stale, uparczywie wracać na fałszywy trop mitycznego szaleńca czy grupy terrorystów, interes, który każe nam przyjąć każde rozwiązanie, byle wreszcie osiągnąć wynik. Udowodnić, że kilkanaście milionów złotych nie poszło w bioto. I pewnie osiągnęlibyśmy wreszcie ten wynik, gdyby w sukurs nie przyszły nam nasze własne błędy. Konkretnie: nieudolność jednego z inspektorów, który zapatrzony w absurdalną teorię — nazwijmy ją „terrorystyczną” — przegapił bardzo ważne fakty, co chyba uratowało życie niewinnemu człowiekowi.

Rozumiem, sierzancie, że to, co mówię, może brzmieć strasznie, ale chciałbym być z wami szczery. Postawcie się zresztą sami w sytuacji człowieka, który prowadzi dochodzenie stulecia, człowieka, który za wszelką cenę chce wygrać. I nagle, powiedzmy po miesiącu niepowodzeń, dostaje do rąk idealny materiał obciążający. Sprawdza go. Uruchamia całą maszynę i nagle... wtedy łatwo domyślić się, co będzie... Ruszy lawina. Współpracownicy, kierownictwo, władze polityczne, wreszcie rozhisteryzowana opinia publiczna nie ustąpią ani na krok. Gdyby nawet człowiek ten miał jakieś wątpliwości, to i tak zostanie zrobione wszystko, aby wybić mu je z głowy. Jeżeli i to nie pomoże — dochodzenie przejmie kto inny. a jemu pozwoli się co najwyżej na działanie na własną rękę. Bez środków, bez żadnych możliwości. I tak by się właśnie stało, sierzancie, gdyby nie drobiazg, o którym wspomniałem. Trzydzieści dni to była ostateczna granica. Później euforia minęła: dochodzenie zaczęło ponosić klęskę za klęską, i co za tym idzie - zwiększyły się możliwości ustalenia prawdy. Zaczęło się systematyczne rozważanie różnych możliwości. Jak w większości przypadków, wykrycie sprawcy okazało się rzeczą prostą, o ile znalazło się właściwy punkt odniesienia. Gdy bowiem przyjmie się koncepcję próby dokonania zbrodni absolutnej, zaakceptuje pozornie obłądne założenie, iż można zgładzić pięćdziesiąt pięć osób tylko po to, aby ukryć jedno właściwe zabójstwo i tylko po to, aby skierować dochodzenie w fałszywym kierunku — wtedy wszystkie elementy układanki zajmują właściwe miejsca.

— Zdziwicie się zapewne, sierzancie, gdy powiem, że już po pierwszych kilku dniach dochodzenia dysponowaliśmy pełnym materiałem, który umożliwiał wykrycie sprawcy. Nie, to nie są żarty! Upewniłem się o tym kilka dni temu. Taka możliwość istniała! Były realne możliwości! Niestety, tkwiące w nas ograniczenia okazały się silniejsze.

Kierowca, który przysłuchiwał się rozmowie, popatrzył na kapitana w niemym podziwieniu.

— Uśmiechacie się z niedowierzaniem, gdy mówię o prostym rozwiązaniu. Niesłusznie! Ono jest rzeczywiście bardzo proste. Otóż amanitatoksyna, której roztworem posłużył się morderca, jako trucizna ma szereg zalet skuteczna jest jednakże tylko w pewnym procencie przypadków. Śmiertelność zależy od wielkości dawki toksyny, reakcji organizmu i tak dalej. Ponadto ten sposób dokonania zbrodni zakładał duży udział przypadku: w końcu butelka mogła zostać skradziona, mleko mogło wykipieć, ofiara krytycznego dnia mogła go nie wypić czy wypić zbyt mało. Morderca musiał brać to pod uwagę. Nie mógł planować zbrodni absolutnej, narażać się na ogromne niebezpieczeństwo tylko po to, aby mieć trzydzieści czy czterdzieści szans na to, że upatrzona przez niego ofiara poniesie śmierć. Byłby to absurd! Nikt rozsądny nie podjąłby takiej akcji przy tak niskim prawdopodobieństwie sukcesu. Morderca musiał mieć pewność, że Miller zginie. Zauważył to krąg podejrzanych do osób, które mogły być pewne, że ofiara przyjęła odpowiednią ilość toksyny i które miały możliwość ewentualnego dostarczenia jej następnej dawki w innym produkcie spożywczym.

Sierżant pokręcił głową.

— Proste, prawda? Ale jest jeszcze druga sprawa: dowody rzeczowe. Zapewniwszy sobie dostęp do ofiary i spożywanych przez nią produktów, morderca stanął przed nierozwiązywalnym dylematem. Pozostawienie pod drzwiami ofiary butelki z mlekiem zawierającym toksynę wiązało się z ogromnym ryzykiem. Powiedzmy, że ofiara umiera na skutek zatrucia toksyną podaną na przykład w alkoholu. Wobec faktu, iż pierwsza faza zatrucia wiąże się z biegunką i wymiotami, analiza zawartości żołądka nie wykaże, czy ofiara piła mleko czy nie. Co jednak będzie, gdy pod drzwiami jej mieszkania pozostanie nie otwarta butelka, czy też w mieszkaniu znajdzie się butelka, z której ubyło tak mało mleka, że wypita ilość wykluczy możliwość zatrucia? Co będzie wtedy?

— Prowadzi to do prostego wniosku, iż ofiara była jedyną osobą, która krytycznego dnia nie mogła otrzymać mleka. Brak pustej butelki w mieszkaniu ofiary staje się tym samym bardzo ważną poszlaką.

— Czyli, że Miller przyjął truciznę podaną nie w mleku, a w czymś innym?

— Wszystko na to wskazuje. Przecież byli razem z mordercą na sesji w Starej Dąbrowie. Ale niech pan słucha dalej. Krąg podejrzanych i ofiar zawęża się do kilku czy kilkunastu osób. Ich liczbę można ograniczyć jeszcze bardziej. Przyczyną jest perfekcjonizm mordercy, który pragnął podsunąć nam odpowiedniego kandydata na sprawcę. Na początku niezbyt mu się powiodło ze względów, o których już wspominałem. W końcu jednak wszystko ułożyło się po jego myśli wpadliśmy na ślad człowieka, którego goście właśnie u siebie w domu. Na szczęście było już za późno — dochodzenie przyjęło właściwy kierunek i teraz wystarczyło już tylko uznać, że Jerzy Deczel jest niewinny i za pomocą najprostszych środków ustalić, kto dysponując odpowiednimi informacjami mógłby mieć zarówno środki, jak i możliwości, aby sfabrykować dowody przeciwko niemu...

Inspektor sięgnął po następnego papierosa. Dopiero teraz możemy odpowiedzieć na pytanie, kto jest sprawcą. W tej chwili to zupełnie proste. Ale, ale, sierżancie, czy ta odpowiedź was naprawdę interesuje? Czy naprawdę chcecie wiedzieć, kto z kilkudziesięciu milionów naszych rodaków popełnił tę zbrodnię? Numer sześć milionów czterysta piętnaście czy dwa miliony osiemset? W końcu co za różnica?

# Rozdział 20

---

Inspektor kończył kolejnego papierosa wsłuchując się w szумы i trzaski dobiegające z głośnika radiowego. Stażysta Kamiński zmęczony nawalem wrażeń uciał sobie drzemkę, podobnie postąpił kierowca, który nie licząc się z niczym już dawno zapadł w głęboki sen.

Inspektor spojrział na zegarek. Wpół do dziewiątej. Przed domem jeszcze ciągle kręciło się sporo ludzi. Kobiety z siatkami i mężczyźni dźwigający wypchane teczki zostali najpierw zastąpieni przez hałaśliwe grupki młodzieży, a potem przez ubrane odświętnie pary z kwiatami. Wpół do dziesiątej. Nadal nic. Wywiadowca twierdził z uporem, że jego klient nie opuścił mieszkania. Należało mieć nadzieję, że się nie myli. Dziesiąta. Sierżant Kamiński ocknął się ze snu i zapewne po to, aby zadać jakieś pytanie, zapytał, czy przypadkiem nie zaszła pomyłka i czy inspektor jest pewien słuszności swojej teorii.

Inspektor odburknął coś w odpowiedzi.

Była za pięć jedenasta i do rozpoczęcia kina nocnego w telewizji pozostało dokładnie dziesięć minut, gdy w głośniku po serii trzasków rozległ się głośny pisk, a potem cichy głos wywiadowcy: 058, słyszysz mnie?

Inspektor chrząknął.

— 01, słucham.

— Nasz klient opuszcza mieszkanie,

— Melduj wszystko po kolei.

— Zamknął drzwi. Czeka na windę — nastąpiła długa przerwa. — Teraz wychodzi z budynku. Idzie w kierunku parkingu. Wsiada do samochodu. Niebieska skoda, numer WIO 40-38.

— Dobra. Pojedziesz za nim. Po przyjeździe na miejsce zostajesz na dole. w hallu. W razie czego zatrzymasz go.

— Zrozumiałem, 01. Bez odbioru.

Głośny trzask i w głośniku znowu rozległ się jednostajny szum. Inspektor skinął głową.

— Idziemy.

Wysiedli z samochodu. Obszerny hall był zupełnie pusty. Wszyscy, którzy mieli wyjść na przyjęcia, już to zrobili, a ci, którzy mieli zostać w domach, zapewne oglądali telewizję. Autobusy jeszcze kursowały: masowe powroty z przyjęć i zabaw miały zacząć się dopiero za pół godziny. Pora wybrana była niemal idealnie.

Obie windy czekały na parterze. Inspektor otworzył drzwi pierwszej z nich i wpuścił do środka kaprała Malickiego.

— Zrobimy próbę. Pojedziecie na siódme piętro — powiedział cicho. — Staniecie przed drzwiami. Tak, aby dokładnie było was widać. Wsiadając naciśnijcie guzik z literą P.

Kapral skinął głową i wszedł do środka. Po kilku minutach inspektor razem z sierżantem Kamińskim pojechali drugą windą.

Był to nowoczesny dźwig osobowy, zaopatrzone w urządzenie do programowanego wybierania pięter. Mimo że wszystko było jeszcze zupełnie nowe, gdy tylko metalowe drzwi zamknęły się wolno, winda ruszyła w górę z ogłuszającym zgrzytem. Pierwsze piętro.-. Drugie... Trzecie... „Ciekawe, co czuje taki człowiek zamknięty w metalowej klatce windy” — pomyślał inspektor. Czwarte piętro... Piąte... ..Trzeba naprawdę mieć mocne nerwy”. Szóste piętro... Spojrzał w górę. W podłużnym otworze drzwi na siódmym piętrze dostrzegł najpierw nogi w czarnych spodniach, potem szaroniebieską kurtkę mundurową, a wreszcie za szybą ukazał się kapral Malicki w całej okazałości.

Inspektor podniósł dłoń z uniesionym w górę kciukiem i skinął głową z uznaniem. To robiło istotnie duże wrażenie.

W-nda zatrzymała się na ósmym piętrze. Otworzył drzwi i wysunawszy ze szpary w górnej części metalowej obudowy drzwi ramię zakończone plastikowym kółkiem zabezpieczył drzwi przed ponownym zamknięciem. Wyjął z kieszeni radiotelefon i nacisnął przycisk urządzenia wywołującego.

— 058, słucham rozległ się po chwili cichy głos.

— 01 — powiedział niemal szeptem. — Melduj.

— Dojeżdżamy na miejsce. Jak dotąd — wszystko w porządku.

Inspektor popatrzył tęsknic w kierunku okna, które znajdowało się za rogiem korytarza. Po chwili z rezygnacją machnął ręką. Ryzyko było zbyt wielkie.

— Dziękuję, 058. Bez odbioru.

Ustawili się dokładnie naprzeciwko drzwi drugiej windy. Inspektor stanął nieco z boku, tak, aby sierżant Kamiński, który po pozbyciu się płaszcza wyglądał jak uosobienie stróża porządku, mógł być jak najlepiej widoczny w podłużnym otworze drzwi. Wyjął z kieszeni pistolet i odbezpieczył go. Sierżant manipulował długo przy przełączniku rodzaju ognia swojego RAK-a, nic mogąc najwyraźniej dokonać wyboru pomiędzy ogniem pojedynczym i maszynowym. Wreszcie powziął decyzję. Stanowczym ruchem szarpnął do tyłu uchwyt suwadła i podniósł broń do góry.

Gdzieś z daleka dobiegł cichy zgrzyt. Winda ruszyła.

Sierżant głęboko westchnął i przetykając głośno ślinę odwrócił głowę. Inspektor ujrzał bladą twarz i mocno zaciśnięte wargi. Zmrużył oczy i kiwnął głową w porozumiewawczym geście.

Miarowe dudnienie narastało stopniowo. Winda była coraz bliżej. Mija piąte piętro, teraz szóste — pomyślał inspektor.

Odblask światła w ciemnym otworze szybu stawał się coraz intensywniejszy. Siódme piętro. Za szybą pojawiły się metalowe uchwyty lin nośnych. W podłużnym otworze ukazała się jasno oświetlona klatka windy. Cichy trzask. Włączyło się urządzenie hamujące. Przed nimi jak na zwolnionym filmie przesunęło się wewnątrz windy wraz ze stojącym w środku wysokim mężczyzną w czarnym płaszczu.

Zanim nastąpił głośny zgrzyt elektrycznego zamka, inspektor szarpnął za uchwyt drzwi.

— Milicja. Ręce do góry — zawołał głośno.



Kątem oka dostrzegł, że mężczyzna wykonał szybki ruch ręką. Rozległ się cichy brzęk szkła i wewnątrz windy zrobiło się zupełnie ciemno.

Inspektor odetchnął z ulgą. Stało się!

Trzask otwierającego się zamka złał się w jedno L hukiem wystrzału. Szyba w otworze drzwi rozsypała się w gwiazdziste kawałki. Po prawej stronie twarzy poczuł muśnięcie powietrza i niemal jednocześnie z tyłu brzęknęło szkło. Lokator zajmujący mieszkanie naprzeciwko windy stracił wizjer w drzwiach.

„Stało się” — pomyślał z tryumfem. Z lewej strony dostrzegł, że ręce sierżanta Kamińskiego podnoszą się kilka centymetrów w górę i zaciskają na rękojeści pistoletu. Zdażył w ostatniej chwili. Mocne pchniecie w ramię odsunęło sierżanta w bok. W zamkniętym pomieszczeniu terkot pistoletu maszynowego zamienił się w jedną potężną detonację. Z sufitu posypał się tynk.

Wyprostował prawą rękę i celując dokładnie tam, gdzie ułamek sekundy temu widział nogi w niebieskich dżinsach, pięć razy nacisnął spust. Niemał jednocześnie z pierwszą detonacją rozległ się ostry, przemijający krzyk. Później słychać było tylko huk strzałów. Jeszcze później wszystko ucichło.

Stali nieruchomo przez pełne dziesięć sekund. Potem sierżant zatoczył się bezwładnie i oparł o ścianę. Oddychał ciężko, a na bladej twarzy widać było duże krople potu.

Inspektor szarpnął za uchwyt drzwi i włożywszy pomiędzy zawiasy rękojeść pistoletu zablokował mechanizm zamykający. Na podłodze windy leżał zgięty we dwoje mężczyzna w czarnym płaszczu. Obok stała skórzana torba, a tuż obok prawej dłoni leżał czarnooksydowany pistolet „Parabellum”. Otworzył zamek torby. Wewnątrz znajdował się gruby podręcznik chemii organicznej i jakiś skrypt dla studentów farmacji. Poza tym było trochę szkła laboratoryjnego i duża butelka wypełniona oleistym płynem. „Niezbite dowody — pomyślał. — Gdy by znaleziono to wszystko w mieszkaniu Jerzego Deczela, motywy jego "samobójstwa" byłyby oczywiste”.

Z tyłu usłyszał odgłos szybkich kroków. Odwrócił się. Kapral Malicki zdażył pierwszy dotrzeć na miejsce. Skinął głową na znak. Ze wszystko jest w porządku. Z kieszeni płaszcza wyjął radiotelefon i wcisnąwszy guzik pierwszego kanału zażądał przysłania karetki i ekipy dochodzeniowej.

Gdy tłumaczył wszystko jakiemuś nierozgarniętemu dyżurnemu, w drzwiach naprzeciwko trzasnął zamek. Na progu sunął jakiś zaspany mężczyzna w piżamie. Przez chwilę rozglądał się z niedowierzaniem dookoła, a potem przerażony widokiem mundurów, intensywnym zapachem kordytu i widokiem zawartości windy nie odzywając się ani słowem schował się do środka i zamknął drzwi.

— Kapralu, zróbcie coś z tym — inspektor wskazał ręką w stronę korytarza, gdzie już pojawił się ktoś z lokatorów. — Niech się tutaj nie kręcą.

Od strony schodów usłyszeli głośny tupot nóg. Po chwili przy wejściu na korytarz pojawił się trzeci współpracownik kapitana Zawadzkiego.

— Wszystko w porządku? — zapytał z trudem łapiąc oddech.

Inspektor skinął głową.

— Strzały było słychać aż na parterze. Za chwilę będziecie tu mieli połowę lokatorów.

Nic nie odpowiedział. Wywiadowca otarł pot z czoła.

— Co to za gość jeśli wolno zapytać?

— Ten? Lekarz psychiatra. Pan doktor Więckowski. Najpierw wymordował pięćdziesiąt sześć osób. aby ukryć, że nie jest w pełni normalny, a teraz chciał wykończyć pięćdziesiątą siódmą, żeby zwalić na nią to wszystko.

Starszy człowiek pokręcił głową.

— Co za czasy, panie inspektorze — powiedział wolno. — Co za czasy — powtórzył. — Jak to wszystko się pomieszało...

Odwrócił głowę i odszedł.

— Zatrzymam panu tych ludzi — dodał jeszcze nie odwracając głowy.

— Panie inspektorze...

Z tyłu usłyszał odgłos kroków.

Twarz sierżanta Kamińskiego sprawiała upiorne wrażenie. Błyszcząca od potu trupioblada skóra, posklejane kosmyki włosów, nienaturalnie rozszerzone, nieruchome oczy.

— Panie inspektorze...

— No, słucham.

— Czy on żyje? Westchnął z politowaniem.

— Żyje. Stracił tylko przytomność.

— Naprawdę?

— Tak. sierżancie. Po prostu zemdlął z bólu.

— Jak to?

Inspektor uśmiechnął się.

— Ma strzaskane obydwie kolana. Czekają go kilka kłopotliwych operacji, parę niezbyt przyjemnych zabiegów, ale i tak na szafot zawiozą go w inwalidzkim fotelu. Mam nadzieję, sierżancie, że nie macie nic przeciwko temu?